AGENTÓW CBA ŻYCIE PO ŻYCIU

FAKTY PO MITACH

Nr 49 (273), 5 – 11 grudnia 2025 r.

str. 10-11

KRAKOWSKA EMINENCJA

str. 9

fot. AI / Wikimedia

CZAS NA RÓWNOŚĆ: Niechęć do uznania praw par jednopłciowych najwięcej mówi o Kościele katolickim i jego wyznawcach. Ta instytucja zatrzymała się w czasach Pawła z Tarsu... (prof. Joanna Hańderek, str. 7)

OSTRE UDERZENIE WODY SODOWEJ: Woda sodowa uderza zwłaszcza do pustych łbów, bo jest w nich dużo miejsca do wypełnienia bąbelkami... (prof. Joanna Senyszyn, str. 19)

9 772719 530505 49

cena 9,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl 472e4c9417

Akademia absurdu

Rzeczywistość a marzenia – cd.

Jeśli myślicie o karierze politycznej – pijcie! Inaczej ni cholery nie nadążycie za rzeczywistością.

Przed tygodniem przedstawiłem w tym miejscu dość ponury obraz, pokazujący naszą pozycję w świecie międzynarodowej polityki. Nie tej największej – kształtującej globalne trendy, lecz tej bardziej „przyziemnej", odnoszącej się do trwającej obok nas wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nie ma nas w niej, choć jesteśmy jej częścią. To znaczy nie ma nas w tej polityce, bo w wojnie jak najbardziej bierzemy udział choć (oficjalnie) nie bezpośrednio. O ignorowaniu nas świadczy chociażby kolejne już wyeliminowanie Polski z toczących się rozmów pokojowych walczących stron. Z jednej strony, jesteśmy postrzegani jako „hamulcowi" rozmów o pokoju, bo kierując się „troską" o przyszłość Ukrainy, namawiamy ją do kontynuowania wojny. Z drugiej, wielcy świata wiedzą, że i tak zrobimy to, co nam każe Wielki Brat zza oceanu; bez względu na to czy nazywa się on Obama, Biden czy Trump.

Z tego też powodu nie prowadzimy polityki zagranicznej ograniczając się do aktywności na arenie międzynarodowej. Jako kraj zrezygnowaliśmy z części swoich praw wstępując do NATO – rozumiem to. Z kolejnych, gdy staliśmy się członkiem Unii Europejskiej – też rozumiem. Ale nie jestem w stanie pojąć braku krytycyzmu w podporządkowaniu się woli USA. Nie stało się to dziś, lecz trwało od początku transformacji ustrojowej i tak naprawdę miało oblicze korupcji, gdzie korumpowane były nasze „elity". Atrakcyjnymi „stypendiami naukowymi", amerykańskimi szkołami dla ich dzieci, grantami płynącymi na szerzenie „idei wolności i równości", pracą w amerykańskich firmach powstałych na zgliszczach polskich, prowizjami (legalnymi!) za zakupy amerykańskiego uzbrojenia, które ma nam zapewnić bezpieczeństwo przed wrogami USA, rzeką szmalu płynącego do mediów głównego nurtu, które w zamian wspierają wizerunkowo polityków posłusznych woli Wielkiego Brata.

Jakoś to się kręciło, ale nagle nasz amerykański protektor postanowił realizować swoją doktrynę (interesy – nie przyjaźń) bez złudnej maski. Kiedy zasłaniał swe oblicze, nie przeszkadzało nam to w „robieniu mu laski" (przepraszam, ale to nie moje słowa, lecz naszego ministra spraw zagranicznych). Elity zdecydowały więc, że mogą dalej uprawiać z „Bratem" seks oralny, ale tylko w charakterze „cichodajki", bo robienie tego oficjalnie naraziłoby nas na nazwanie „po imieniu", co nie służyłoby „polskiej racji stanu" (cokolwiek to oznacza). W dniach, kiedy pierwszy raz usłyszałem te słowa o „lasce" (nagranie z restauracji „Sowa i Przyjaciele" – czerwiec 2014 r.), miałem spotkanie z wziętym analitykiem spraw międzynarodowych, dyplomatą. Pamiętam jego wykład: „państwa małe i średnie muszą się wypowiedzieć do jakiego modelu demokracji jest im bliżej – amerykańskiego czy rosyjskiego – i pogodzić się z konsekwencjami swojego wyboru" – prawił. Refleksja o własnym modelu demokracji, o podmiotowości państwa, o niezależności i realizowaniu polityki zagranicznej opierającej się na interesie narodowym nie przyszła mu do głowy.

Krótkie w sumie panowanie Donalda Trumpa zachwiało polską sceną polityczną. Kiedy mamy wojnę u granic i straszeni jesteśmy przeniesieniem działań na teren Polski, „elity" zachowują się jak harcerze w lesie, którym instruktor kazał iść „na azymut", nie wskazał jednak kierunku. Kręcą się więc w kółko, nieudolnie próbując przekonać nas, że przybliżają się do celu. Być może, ale tylko przy założeniu, że tym celem jest zmęczenie… Jest to śmieszne, ale i tragiczne.

Donald Tusk pojechał do Niemiec na „konsultacje międzyrządowe". Dobrze zrobił, bo rozmawiać zawsze warto. Chciałbym tylko zauważyć, że bratał się z politykami państwa niedemokratycznego – jeśli uznać, że elementem szeroko rozumianej demokracji jest niezależność sądownictwa. Nie tak dawno polski sąd odmówił wydania stronie niemieckiej Ukraińca, oskarżanego przez nich o wysadzenie rurociągu Nord Stream 2. W uzasadnieniu padło wiele słów, w tym te podważające wiarę w uczciwy wyrok niemieckich sędziów. Innego zdania był włoski sąd, który postanowił wydać Niemcom drugiego zamachowca. No to jak jest z tą niemiecką praworządnością, jest czy jej nie ma? No bo jeśli nie ma, to jakoś tak głupio prosić Niemców o reprezentowanie naszych interesów w rokowaniach mających doprowadzić do pokoju w Ukrainie… I jak skomentować fakt, że przed ogłoszeniem wyroku polskiego sądu w sprawie Ukraińca-zamachowca polski premier kilkakrotnie mówił publicznie, jakiego wyroku oczekuje…?

À propos niezależności sądownictwa. Jej brak zarzucają nam Węgry, które odmawiają Polsce wydania M. Romanowskiego i u których w gościnie przebywa Z. Ziobro, bez obaw o aresztowanie. Niemniej z prezydentem V. Orbánem postanowił spotkać się prezydent K. Nawrocki. Później zmienił zdanie, co „źródła dobrze poinformowane" – a za nimi węgierskie media – tłumaczą faktem spotkania Orbána z W. Putinem. No, co to za nowina? Wcześniej spotkali się kilkanaście razy. Cel wizyty polskiego prezydenta na Węgrzech to udział w szczycie prezydentów państw tworzących Grupę Wyszehradzką, której Węgry (obok Polski, Czech i Słowacji) są członkiem. Podobnie, jak są naszym partnerem w NATO i Unii Europejskiej. Czyli prezydenci Węgier i Polski rozmawiać ze sobą mogą, ale nie *face to face*. A co złego jest w poznaniu poglądów partnera, z którymi możemy się oczywiście nie zgadzać…? Czy tylko ja mam wrażenie komizmu tej sytuacji?

Teraz zagadka – kto jest autorem tych słów: „Istnieją pewne siły, które dążą do stworzenia bardziej scentralizowanej Unii Europejskiej, wykorzystując federalizację jako kamuflaż, aby ukryć ten proces. Istotą tego procesu jest pozbawienie państw członkowskich, z wyjątkiem dwóch największych, suwerenności; osłabienie ich demokracji narodowych przez możność przegłosowania ich w UE, a tym samym odebranie im roli *panów traktatów*; zniesienie zasady posiadania przez UE jedynie takich kompetencji, które nadadzą jej w traktatach państwa członkowskie; uznanie, że UE może sama sobie nadawać kompetencje i ustanowienie wyższości suwerenności instytucji unijnych nad suwerennością państw członkowskich". To słowa polskiego prezydenta wygłoszone 24 listopada br. na Uniwersytecie Karola w Pradze (czyt. str. 13). Czyli prócz Rosji, Białorusi, Węgier i częściowo Niemiec, jesteśmy też przeciwko Unii Europejskiej?

Uwierzcie mi Państwo: daleko mi do abstynenckiej ortodoksji, ale chyba całkiem rzucę picie. Najpierw – z pobudek patriotycznych – z cudzoziemcami, bo nie wiadomo, kto może za chwilę okazać się naszym nowym wrogiem. Potem też z rodakami – dokładnie z tego samego powodu. Będzie to bolesna decyzja, bo patrząc na nasze „elity" mam wrażenie, że nie trzeźwieją. Tym samym całkowicie pożegnam się z marzeniami o karierze politycznej.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Ryszard Petru będzie kandydował na przewodniczącego Polski 2050. „Mam realne doświadczenie, jak w kilka miesięcy zbudować od zera formację, która w wyborach zdobywa prawie 8 proc. poparcia" – zareklamował się, inaugurując wewnątrzpartyjną kampanię. Zapomniał tylko dodać, że umie również poparcie roztrwonić, zaufanie stracić i zostać nie premierem, a bohaterem memów. Petru stwierdził też, że nie wolno oddać gospodarki ekonomicznym analfabetom. Jak rozumiemy, powinna zostać w rękach następców Balcerowicza. W sumie na jedno wychodzi.

***

Po dwustu latach kończy się produkcja w chorzowskim oddziale ArcelorMittal – Hucie Królewskiej (za PRL, gdy należała do państwa, Hucie Kościuszko). Hinduski koncern uznał, że wysokie ceny energii uczyniły działalność w Chorzowie nieopłacalną, mimo doskonałych kwalifikacji pracowników i jakości produkcji. Za granicą walczą o nacjonalizację hutnictwa (francuska lewica) albo zapowiadają specjalne ceny energii dla przemysłu (rząd niemiecki). Hutnicy będą apelować do Tuska, by też coś zrobił, przynajmniej w tej konkretnej sprawie, skoro można było ratować Hutę Częstochowa. Nie spodziewamy się jednak podobnie ambitnych kroków.

***

Ponad 1 900 gmin w całej Polsce odnotowało w ostatniej dekadzie spadek liczby mieszkańców. Największy odsetek ludności porzucił Dobrzeń Wielki (woj. opolskie), nadmorski Hel i Ceranów (woj. mazowieckie). Na przeciwległym biegunie jest Stawiguda pod Olsztynem, Czernica – coraz popularniejsza sypialnia Wrocławia oraz Kleszczewo, do którego można się wynieść z Poznania. Przyczyny depopulacji bywają różne, powody napływu obywateli zawsze te same – szaleńczo drogie mieszkania w metropoliach.

***

Gdy nie wiadomo już, co ludziom obiecywać, można wrzucić temat organizacji olimpiady w Polsce. Rodacy kochają wszak międzynarodowy rozgłos, prestiż, no i sport. Zespół roboczy ds. organizacji igrzysk, powołany przez ministra sportu podbił jeszcze stawkę, sugerując, że moglibyśmy tę olimpiadę zrobić w Warszawie na setną rocznicę Powstania Warszawskiego – zupełnie jakby walka z nazistowskimi Niemcami i tragedia cywilów miały coś wspólnego z biciem rekordów na bieżni. Czujemy się w obowiązku przekłuć balonik i przypomnieć, że każdy organizator do olimpiady tylko dokładał. Serio, stać nas?

A.S.

eprasa.pl 472e4c9417

Ostatni „żołnierz wyklęty”

Czy Janusz Waluś stanie na czele polskiej „prawdziwej” prawicy?

Jest cztery lata młodszy od Jarosława Kaczyńskiego, trzydzieści lat starszy od Karola Nawrockiego. Z racji wieku jest tak samo stetryczałym dziadem jak prezes PiS. Ma wyraźne kłopoty z logicznym formułowaniem myśli, ale w tym, co bredzi, jest autentyczny. Nigdy nie szedł na zgniłe kompromisy i układy, a życie poświęcił wyznawanym wartościom. Nie dorobił się na polityce, nie stoją za nim protektorzy i grupy wpływu. A co najważniejsze, nie był mięczakiem, który w godzinie próby spał pod ciepłą pierzyną mamusi. Nawrocki przy nim to zaś smarkaty osiedlowy osiłek, silny, ale tylko w gębie i w grupie – niezależnie od tego, czy są to stadionowi chuligani, czy polityczni zadymiarze z Pałacu Prezydenckiego.

Sól ziemi

Janusz Waluś jest jedynym żyjącym Polakiem legendą. Odpowiednikiem Żołnierzy Wyklętych. Nie jakiegoś tam Pileckiego czy „Inki”, ale „Burego”, „Uskoka”, „Lalka” i „Ognia”. Udało mu się zamordować nie tylko komunistę, ale i Murzyna, co w czasie imigranckiej bezbożnej nawałnicy na białą i chrześcijańską Europę nabiera symbolicznego znaczenia. Chris Hani nie był byle jakim komuchem. Jak podkreślają prawicowcy, stał na czele Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej i Umkhonto we Sizwe – zbrojnego skrzydła Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Szkolił się w Moskwie, a jego wyjazdy do ZSRR i NRD sponsorował sam Muammar al-Kaddafi. Zastrzelenie czarnoskórego komunisty jest dla wielu Polaków czynem godnym pochwały. Nie ma znaczenia, że ich bohater należał do neonazistowskiej i terrorystycznej organizacji Afrykanerski Ruch Oporu (Afrikaner Weerstandsbeweging, AWB) i chciał za wszelką cenę powstrzymać przemiany demokratyczne, zmierzające do demontażu systemu segregacji rasowej w RPA.

Jego uczniowie

O uwolnienie Walusia od wielu lat zabiegali politycy tzw. środowisk narodowych, m.in. Robert Mordak, Sylwester Chruszcz, Bartosz Jóźwiak, Robert Winnicki i Tomasz Rzymkowski, a nawet wpływowy senator PiS Jan Żaryn. Twierdził on, że „dręczenie Walusia jest wynikiem osobistej zemsty części elit zarządzających RPA”. Za rządów PiS polski konsul w Pretorii regularnie odwiedzał mordercę w więzieniu, dostarczając mu m.in. polską prasę, książki oraz materiały o tematyce historycznej, a z okazji świąt i urodzin upominki. Były premier i szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz mówił, że z podobną sytuacją jeszcze się nie spotkał, a „takie zachowanie konsula może świadczyć o demonstrowaniu sympatii dla więźnia”.

Gdy w grudniu 2024 r. Waluś leciał do Polski (po przedterminowym zwolnieniu z więzienia i wydaleniu z RPA) w samolocie towarzyszyli mu europoseł Grzegorz Braun oraz Tomasz Stala, działacz Konfederacji, wydawca nazistowskich książek m.in. „Dzienników Turnera”, nazywanych biblią terrorystów. Na lotnisku przywitali Walusia członkowie gangu motocyklowego Bad Company. W raporcie o niebezpiecznych związkach Karola Nawrockiego, przygotowanym dla Jarosława Kaczyńskiego, napisano, że gdy Nawrocki był dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, kryminaliści, hitlerowcy i gangsterzy z Bad Company urządzili sobie huczną imprezę na Westerplatte.

Czołową postacią Bad Company jest Olgierd Lipnicki „Olo”, który (jak napisano w raporcie) jako nastolatek został „nazi-skinhedem i członkiem chuligańskiej ekipy kibiców Lechii Gdańsk”, tej, której członkiem był też Nawrocki. „Olo” „wyróżniał się brutalnością i okrucieństwem”, a „jego ulubioną bronią były nóż i maczeta”. Za pobicie i ugodzenie nożem licealistów trafił do więzienia. Po opuszczeniu więziennych murów stanął na czele gangu sutenerów. Lipnicki „wynajmował mieszkania, umieszczał w nich prostytutki, które oddawały mu połowę zarobionych pieniędzy”, a „kiedy kobiety chciały zrezygnować, były bite i zastraszane”. Oprócz sutenerstwa „gang zajmował się także handlem narkotykami, ochroną lokali rozrywkowych i wymuszaniem haraczy”. W grudniu 2024 r. „Olo” został zatrzymany przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i usłyszał prokuratorskie zarzuty, m.in. udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, a także popełnienia wielu przestępstw, w tym przeciwko zdrowiu i życiu.

fot. Wikipedia

Słowo na niedzielę

Po przyjeździe do Polski Waluś nie usunął się w cień. Jest aktywny w mediach społecznościowych, gdzie przedstawia swój punkt widzenia na wydarzenia społeczno-polityczne. Udzielił kilku wywiadów. Nie wyraził skruchy za mord, którego dokonał. W sposób butny i arogancki usprawiedliwiał zabójstwo Haniego oraz rzekome zalety systemu segregacji rasowej. W rozmowie z Krzysztofem Stanowskim w Kanale Zero stwierdził, że zamordowanie Haniego „było absolutnie konieczne” oraz, że „tego nie żałuje”. W kanale Finansowy Preppers wywodził: „Apartheid to jest osobna linia rozwoju. Moim zdaniem i zdaniem każdego logicznie myślącego człowieka, nie były to kultury, które mogły istnieć w jednym garnku. Po prostu osobny rozwój tychże kultur. Nie dało się po prostu i dzisiaj widzi się, że się nie da”. Natomiast w rozmowie z Tomaszem Drwalem, byłym zawodnikiem MMA i „twórcą cyfrowym”, Waluś zachwalał krwawych dyktatorów: Francisco Franco, António Salazara, Benito Mussoliniego i Augusto Pinocheta.

Przed drugą turą wyborów prezydenckich Waluś zamieścił w mediach społecznościowych film, w którym przestrzegał przed głosowaniem na Rafała Trzaskowskiego. Twierdził, że kandydat obozu demokratycznego po ewentualnym wygraniu wyborów będzie walczył z mową nienawiści, co jest wielkim zagrożeniem oraz ściągnie do Polski imigrantów z Afryki. Prezydenta RPA Frederika de Klerka Waluś nazwał zdrajcą, bo zniósł segregację rasową i oddał władzę terrorystom, czyli Nelsonowi Mandeli i Afrykańskiemu Kongresowi Narodowemu.

Zabójca Chrisa Haniego powiedział, że skoro jego kandydat na prezydenta Grzegorz Braun przepadł w pierwszej turze, to zmuszony jest oddać głos na Karola Nawrockiego, bardziej w „ramach protestu niż przekonania”. Dodał też, że „nie ma dla niego podziwu” i nie zagłosuje „z serca”. Ale niby jak samotny wilk, który najpierw spojrzał w oczy swojemu wrogowi, a potem zastrzelił go z zimną krwią, może szanować „leszcza” szczycącego się napierdalankami w leśnych ustawkach niczym jakiś dzikus z buszu…

W drodze po władzę

Waluś kilkakrotnie pojawiał się na meczach piłkarskich, gdzie był entuzjastycznie witany przez kibiców. Ostatnio na stadionie Legii Warszawa na meczu stołecznej drużyny ze Spartą Praga w ramach Ligi Konferencji UEFA. Mordercy Chrisa Haniego towarzyszył m.in. Grzegorz Braun. Oburzyło to Radosława Sikorskiego. „Od antysemityzmu do morderstwa, jeden krok” – napisał szef MSZ na platformie X, za co został zlinczowany przez tzw. prawdziwych Polaków. We wrześniu br., podczas meczu Legii Warszawa z Pogonią Szczecin, Waluś też pojawił się na „Żylecie”, a kibole wywiesili wówczas flagę z jego podobizną i napisem: „Stay strong, brother” („Bądź silny, bracie”). Do tego skandowano jego nazwisko i wiwatowano na jego cześć. Z kolei latem Waluś brał udział w antyimigranckiej demonstracji w Kielcach zorganizowanej przez Młodzież Wszechpolską, Kieleckich Patriotów oraz Obóz Narodowo-Radykalny. On i jego towarzysze szli ulicami miasta krzycząc: „Śmierć wrogom Ojczyzny!”, co wybrzmiało groźnie.

W wyborach prezydenckich Grzegorz Braun zdobył 6,34 proc. głosów. Według ostatnich sondaży, na jego partię, czyli Konfederację Korony Polskiej, chce głosować nawet 8 proc. wyborców, co razem z Konfederacją Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka daje ok. 25 proc. poparcia. Tymczasem rozbita wewnętrznie partia Jarosława Kaczyńskiego słabnie i notuje rekordowo niskie wyniki. Do wyborów parlamentarnych zostały jeszcze dwa lata. Społeczeństwo polskie coraz bardziej się radykalizuje i jeśli ten proces będzie postępował, to Braun, Bosak, Mentzen i spółka utworzą przyszły rząd, którego akuszerem zostanie Janusz Waluś.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 472e4c9417

WIARA CZYNI CZUDA

Hiszpania: lawina skarg

Tylko od początku tego roku do hiszpańskiego episkopatu wpłynęło 101 skarg dotyczących seksualnego wykorzystywania dzieci przez księży.

Przyciśnięty do muru hiszpański kat. Kościół na początku roku wprowadził „kompleksowy plan naprawczy". Jego celem jest zadośćuczynienie ofiarom księży. Zgodnie z założeniami, osoba poszkodowana może zgłosić swoją sprawę niezależnie od tego, ile lat minęło od przestępstwa. Decyzję o odszkodowaniu podejmuje niezależna komisja, a nie biskupi. Kościół wypłaci je nawet, gdy sprawca nie żyje lub sprawa jest przedawniona w sądach państwowych. Usprawnienia sprawiły, że od początku roku do episkopatu wpłynęło 101 nowych roszczeń. Jak informuje Kościół, 58 zostało już „rozwiązanych". Nadal jednak nie jest jasne, ile z rozpatrzonych spraw zakończyło się faktyczną wypłatą odszkodowań i w jakich kwotach.

Wenezuela: własność Chrystusa

„Jezus Chrystus jest panem i właścicielem Wenezueli" – oświadczył podczas spotkania z ewangelikanami prezydent kraju Nicolás Maduro.

Ja, Nicolás Maduro Moros, (…) dobrowolnie potwierdzam, że panem i właścicielem Wenezueli jest nasz Pan Jezus Chrystus, i oddaję wszelką cześć i chwałę Duchowi Świętemu. I oświadczam, że jedynym rzeczywistym i prawdziwym Bogiem jest Bóg wszechmogący" – mówił szef państwa i nazwał pałac prezydencki Miraflores „boskim ołtarzem". Czyżby Maduro się nawrócił? Jak to dyktator, wykorzystuje religię, żeby w obliczu trwającego kryzysu społeczno-gospodarczego, spowodowanego jego nieudolnymi rządami, przedstawić siebie jako osobę pełniącą ważną misję duchową. Jednak „religijna inwokacja (…) nie wystarczy, aby zamaskować wizerunek prezydenta, który wzywa niebiosa na pomoc, bo nie wie, jak rządzić swoim krajem" – komentują niezależne wenezuelskie media.

Nigeria: zbawienie za seks

Policja aresztowała pastora Daniela Ololo. Duchowny wykorzystywał „proroctwa", by przekonać wierne do współżycia.

Ololo jest pastorem w charyzmatycznym Kościele, którego nazwę można przetłumaczyć: „Omega – Prorocze Ministerstwo Modlitwy". Kościół należy do popularnego w Nigerii nurtu prophetic, którego pastorzy ogłaszają proroctwa i prowadzą „uwolnienia duchowe". Według śledczych stanu Delta, działania pastora Ololo to przykład duchowej manipulacji. Wmawiał członkiniom swojego Kościoła, że seks z nim to element „duchowego uzdrowienia". Groził, że jeśli mu nie ulegną – nie zostaną zbawione. Jego ofiarami padły trzy siostry, najmłodsza miała 17 lat.

Ukraina: Kościół do likwidacji

W Kijowie toczy się postępowanie sądowe w sprawie rozwiązania organów kierowniczych Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego (UKP). Watykan się nie zgadza.

Państwowa Służba ds. Polityki Etnicznej i Wolności Sumienia (DESS) wniosła pozew do sądu administracyjnego o likwidację Metropolii Kijowskiej Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego. Domaga się przekazania państwu majątku, funduszy, nieruchomości i innych aktywów Kościoła. Powodem są powiązania z patriarchatem moskiewskim. Jeśli sąd przychyli się do pozwu, Kijowska Metropolia może nie tylko stracić wszystkie dobra ziemskie, ale też osobowość prawną. Parafie będą mogły funkcjonować, ale tylko jako wspólnoty autonomiczne albo przejść pod inne struktury. Kard. Claudio Gugerotti, prefekt watykańskiej Dykasterii ds. Kościołów Wschodnich w Rzymie uznał, że to „karanie zbiorowe" wspólnot religijnych i nazwał je „nieodpowiednim".

fot. YouTube/Screenshot

Indonezja: pocałunek kaznodziei

Opinia publiczna domaga się certyfikacji islamskich kaznodziejów. Wszystko przez jeden filmik.

Film, na którym 24-letni islamski kaznodzieja Mohammad Elham Yahya Al Maliki z regencji Kediri w Jawie Wschodniej całuje w usta małe dzieci, wyświetlają niemal wszystkie media w kraju. Arifah Fauzi, minister ds. kobiet i ochrony dziecka, ostrzegła, że takie zachowania mogą mieć długotrwały negatywny wpływ na psychikę dzieci. Zdaniem ekspertów, poruszenie, jakie wywołała ta sprawa, pokazuje rosnącą niecierpliwość społeczeństwa wobec przypadków nieetycznego zachowania przywódców religijnych. Natomiast ci, w odpowiedzi na krytykę i próby ograniczeń wskazują, że certyfikacja mogłaby być „narzędziem kontroli politycznej" nad kaznodziejami i ograniczyć niezależność religijną. Czyli lepiej krzywdzić dzieci?

Filipiny: uwaga na księdza!

Państwo nie może poradzić sobie z ks. Arnelem Fuentesem Lagarejosem, przyłapanym na próbie kupienia 13-latki. Niebezpieczny pedofil od 8 lat czeka na sprawę sądową.

Duchowny został aresztowany w Marikina City w 2017 r. Policja zorganizowała prowokację z udziałem 13-letniej dziewczynki. Duchowny chciał ją kupić, by wykorzystać seksualnie. W telefonie duchownego śledczy znaleźli wiadomości SMS, które potwierdzały, że wielokrotnie kontaktował się z pośrednikami w celu organizacji seksualnych spotkań z nieletnimi. Choć sprawa od początku wydawała się jasna, do tej pory nie odpowiedział za swoje czyny. Duchownemu odebrano paszport i oskarżono o seksualne wykorzystywanie nieletnich oraz naruszenie ustawy o handlu ludźmi. A ks. Lagarejos wpłacił kaucję i zniknął.

Pakistan: fanatycy i dzieci

Zgromadzenie prowincji Balochistan przyjęło ustawę zakazującą małżeństw dzieci.

Zgodnie z nowym prawem, dorosły mężczyzna, który zawrze małżeństwo z dzieckiem, a także osoby uczestniczące w jego organizacji, podlegają karze od 2 do 3 lat ciężkiego więzienia oraz grzywnie w wysokości 200 tys. rupii (ok. 2 600 zł). Osoby udzielające ślubu – tzw. Nikah Khawanowie – będą zobowiązani do weryfikacji elektronicznych dowodów tożsamości obu stron wstępujących w związek małżeński. Zaniedbanie tego nakazu będzie traktowane jako przestępstwo i również będzie podlegało karze więzienia i grzywnie. Nowe przepisy uznają za nieważne wszelkie małżeństwa z udziałem dziecka. Jednocześnie obowiązek utrzymania potomstwa z takich związków będzie spoczywał na ojcu. To, co nam wydaje się normą, oburzyło parlamentarzystów z partii Jamiat Ulema-e-Islam-Fazl (JUI-F). Podczas głosowania nad ustawą podarli jej kopię i zakłócali obrady argumentując, że nowe prawo „narusza zasady islamu".

USA: spowiedź ocalonych

Dwaj bracia, odsiadujący wyrok za zabicie księdza, opowiedziało historię wykorzystywania dzieci w sierocińcach Hope Haven i Madonna Manor w Nowym Orleanie.

Marcus Hamilton za zamordowanie księdza Patricka McCarthy'ego został skazany na karę śmierci. Jego przyrodni brat dostał dożywocie. Po latach, opowiedzieli, co popchnęło ich do zbrodni i co działo się za murami sierocińca Madonna Manor, do którego trafili będąc dziećmi. „Kiedy dotarliśmy do domu w Missisipi Oberg stwierdził, że Bóg chce pobłogosławić moje ciało specjalnym smakołykiem – co okazało się doprowadzeniem do brutalnego seksu oralnego i analnego zakończonego krwawieniem z odbytu" – mówił Hamilton w wywiadzie dla „National Catholic Reporter". Śledztwa i dokumenty sądowe wskazują, że w obu placówkach dzieci molestowali i dotkliwie bili księża, zakonnicy, pracownicy świeccy i zakonnice. Udowodnienie krzywd doznanych w dzieciństwie może sprawić, że czyn Hamiltona zostanie przekwalifikowany na „nieumyślne spowodowanie śmierci". Archidiecezja Nowy Orlean, w ramach 660 pozwów, ma wypłacić pokrzywdzonym 230 mln dolarów.

Stronę redaguje **Wanda Kwiecień**

eprasa.pl 472e4c9417

POLETKO PANA B.©

TĘCZOWY WYROK

Państwo członkowskie ma obowiązek uznać małżeństwo pary tej samej płci zawarte legalnie w innym kraju Unii Europejskiej, nawet jeśli prawo tego państwa nie uznaje tego typu związków — orzekł Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Wyrok dotyczy dwóch Polaków, którzy w Berlinie wzięli ślub, lecz nie uznają go polskie urzędy. W TVN24 żartowali, że w podróży z Niemiec do Polski są małżeństwem do chwili przekroczenia granicznej Odry i przestają nim być na drugim brzegu rzeki. Po orzeczeniu TSUE katoprawica zawyła, że wraża Unia wtrąca nam się w sprawy wewnętrzne (kiedy czyni to Watykan, jest OK). No i co z Konstytucją RP, do której biskupi wepchnęli formułkę o małżeństwie – związku mężczyzny i kobiety! A przecież TSUE nie stwierdził, że cała Unia musi wprowadzić małżeństwa jednopłciowe; uznał tylko, iż para, która wraca do państwa pochodzenia, powinna mieć pewność, że będzie mogła kontynuować życie rodzinne. To klęska byłego ministra Ziobry, który przez 8 lat zajadle zwalczał wpisywanie takich aktów małżeństwa do krajowych rejestrów stanu cywilnego.

JA JESTEM *MACHO*

Kobiety nie myślą i trzeba je do tego zachęcać. To mężczyźni są od pomysłów, a kobiety od spraw uczuciowych. Ich rolą jest wychowanie dzieci i służenie mężowi" – tak miał powiedzieć na rekolekcjach dla młodzieży ks. Maciej Gaik, sędzia Sądu Biskupiego w Sosnowcu. Na zdjęciu – zadowolony z siebie, młody jeszcze mężczyzna o okrągłym obliczu i obfitym podwójnym podbródku. Coś nam się wydaje, że ten *macho* miałby trudności ze znalezieniem żony, która zechciałaby mu pokornie służyć. Lecz jako ksiądz może bez przeszkód głosić seksistowskie poglądy z minionej epoki. Czy jako sędzia od unieważniania małżeństw rozlicza podsądne z myślenia? Czy nad Sosnowcem ciąży jakaś klątwa?

TAKA BOGOBOJNA

Posłanka Maria Kurowska (dziś PiS, wcześniej Suwerenna Polska Ziobry) z Podkarpacia zasłynęła dotąd głównie z dewocji: organizuje parlamentarne spotkania modlitewne, walczy o ustawę „w obronie chrześcijan", wystąpienia kończy takimi np. frazami: „Cierpliwość wszystko osiąga, niczego nie brak temu, kto ma Boga. Bóg sam wystarcza. Dziękuję". Aż tu nagle Onet ujawnił maile, jakie wysyłała do urzędników resortu Ziobry, domagając się „bez żadnego trybu" szmalu z Funduszu Sprawiedliwości. Nadzorując umowy podpisywane w jej okręgu wyborczym, dyktowała, ile ma trafić do jej wybrańców, a nawet poganiała dysponentów Funduszu. „To chyba niemożliwe, żeby tak rozmodlona i bogobojna posłanka Kurowska zajmowała się ręcznym rozdawaniem kasy z Funduszu Sprawiedliwości. Chyba że to nie jest grzech" – komentuje europoseł Bartosz Arłukowicz (KO).

JEDNAK RYŚ!

Ta decyzja wykluwała się za Spiżową Bramą ponad rok, ale wreszcie zapadła: nowym metropolitą krakowskim, następcą PiSkupa Jędraszewskiego, został kardynał Grzegorz Ryś, dotychczasowy metropolita łódzki. Pochodzi z Krakowa i tu rozpoczął kościelną karierę, uchodzi za liberała, jest autorem wielu książek (m.in. „Inkwizycja", „Celibat", „Chrześcijanie wobec Żydów", „Czy Kościół ma sens?"). Zapunktował w Watykanie powołaniem w swojej archidiecezji niezależnej komisji ds. wykorzystywania seksualnego nieletnich przez kler, której powstanie w skali ogólnopolskiej blokuje episkopat. Krakowscy księża widzą w tej nominacji prawdziwą rewolucję. Podobno nawet podśpiewują sobie – teraz, na progu adwentu – pieśń wielkanocną „Wesoły nam dziś dzień nastał". „Jego głównym celem będzie uspokojenie nastrojów (…), tak by zarówno księża, jak i świeccy mogli prezentować swoje poglądy bez obawy, że zostaną zakwalifikowani jako mniej lub bardziej jawni heretycy tylko dlatego, że nie pochwalają politycznych i ideologicznych wyborów swojego szefa" – komentuje w „Gazecie Wyborczej" ks. Kazimierz Sowa.

EKSPIACJA ZA LUNĘ

Występ wokalistki Luny, która pląsała, pokazując tyłek, przed ołtarzem z obrazem Jezusa („FpM" 47/25), ma ciąg dalszy. Internauci wytropili, że teledysk nagrano w zabytkowym kościele w Nowym Secyminie w gminie Leoncin (woj. mazowieckie). Wtedy zareagowała warszawska kuria: potępiła nagranie „zawierające treści i symbole w oczywisty sposób sprzeczne z charakterem miejsca świętego, budzące skojarzenia bluźniercze oraz naruszające szacunek należny przestrzeni sakralnej, w tym ołtarzowi". Ukarano „upomnieniem kanonicznym" księdza administratora parafii, który udostępnił świątynię artystce, i odprawiono nabożeństwo ekspiacyjne, żeby wynagrodzić Bogu popełniony grzech. Luna szaleje, wierni przepraszają…

KOŚCIÓŁ NATURALNY

Pod hasłem „Żywność jako narzędzie manipulacji" obradował Parlamentarny Zespół ds. Ochrony Zdrowia i Życia Polaków, złożony z posłów Konfederacji oraz Konfederacji Korony Polskiej. Wśród gości byli rolnicy, producenci żywności, aktywiści antyszczepionkowi, lekarze bez prawa do wykonywania zawodu i pseudoksiądz Kościoła Naturalnego (Hubert Czerniak, który urzęduje w „świątyni" i wyłgał się od odpowiedzialności za „leczenie" chorej na raka, bo pomagał jej jako kapłan). Prof. Grażyna Cichosz, z zawodu technolog żywności, straszyła dietą wegetariańską i roślinami strączkowymi, zwłaszcza soją. Youtuber Andrzej Kawka – do niedawna współpracownik Oskara D., który ma 10 zarzutów prokuratorskich za działalność „uzdrowicielską" – zalecał „tłustą dietę" (jego syn, „odkąd skończył 18 lat, nie tknął nawet gryza rośliny do buzi"). Sabatem szarlatanów dyrygował poseł Roman Fritz od Brauna, który widzi „potworną walkę" i słyszy „kwik pseudoelit lewackich". Lewacy kwiczą, gdy wychodzi na jaw, jak oszukuje nas – dla zysku – oficjalna medycyna. Ile zarabiają apostołowie medycyny naturalnej, to ich słodka tajemnica.

CHRZEST GORSZEGO SORTU

Co za radość – należy chrzcić dzieci poczęte z in vitro! Tak uznał po latach dyskusji zespół ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych, zaznaczając jednak, że „sztuczne metody" prokreacji są „ciężkim naruszeniem porządku moralnego", nie do pogodzenia z godnością osoby ludzkiej (pełna godności jest tylko kopulacja). Ale nie cieszcie się przedwcześnie – ksiądz odmówi chrztu, kiedy nie ma „uzasadnionej nadziei", że dziecko zostanie wychowane po katolicku. Rodzicami chrzestnymi nie mogą być osoby żyjące w związku homoseksualnym albo transseksualne, także po zmianie płci – „jeżeli istnieje niebezpieczeństwo zgorszenia, niewłaściwego usankcjonowania lub dezorientacji", a zdaniem klechów istnieje ono zawsze, gdy tylko trans pojawi się wśród normalsów. Te same rygory dotyczą dzieci „będących pod opieką osób kierujących się ideologią LGBT+". Dzieci z in vitro rodzi się w Polsce 10 tys. rocznie, w tęczowych rodzinach wychowuje się co najmniej 50 tys. Kościół otwiera dla nich drzwi i jednocześnie je przymyka.

CBA U RYDZYKA

Funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego wkroczyli do siedziby Fundacji „Lux Veritatis", prowadzonej przez ojca Tadeusza, i zabezpieczyli dokumenty dotyczące nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości. Chodzi o przelane stamtąd 12 mln zł, które Fundacja wydała na programy w Telewizji Trwam, na wynagrodzenia prawników bez odpowiednich kwalifikacji oraz wynajem biura na toruńskiej uczelni. Ojciec Inkasent brał setki milionów z publicznej kasy, a może się potknąć na drobnych 12 milionach, jak Al Capone na podatkach.

Stronę redaguje **Dorota Wróblewska**

eprasa.pl 472e4c9417

Pogrzeb tylko z cegiełką?

Proboszcz parafii w Braciejówce sugeruje, że osoby, które nie dołożą „cegiełki" do nowego ogrodzenia cmentarza, mogą mieć trudności podczas załatwiania pogrzebu.

Wierni z parafii pw. św. Trójcy w Braciejówce (woj. małopolskie) podczas ogłoszeń duszpasterskich wysłuchali relacji z przebiegu zbiórki pieniędzy na budowę nowego ogrodzenia cmentarza. Ma ono kosztować 300 tys. zł. Jak na razie udało się zebrać ⅔ tej kwoty. Braki w kasie zawsze nieco denerwują duchownych. Ks. Stefan Wielgomas również nie krył zniecierpliwienia.

„Ks. Leszek ogłaszając składkę na nowe ogrodzenie cmentarza nie sprecyzował jak ona ma wyglądać (rodzina czy dom). Powiedział, że od rodziny 800 zł a od osoby samotnej 400 zł. Teraz na tę inwestycję dostaję przeważnie od numeru domu, a przecież bywa, że pod jednym dachem żyją dwie lub trzy rodziny i każdy pracuje. Dlatego moja serdeczna prośba, aby jeśli stać rodzinę, aby nas wspomóc w dokończeniu tej inwestycji, będę bardzo wdzięczny. Nie ograniczmy się tylko do adresu. Niech każda rodzina naszej parafii dołoży swoją cegiełkę do tego dzieła" – zaapelował do wiernych kapłan.

Później nie było już tak miło.

„Do dnia dzisiejszego mieszkańcy ponad 90 numerów nie ofiarowało na ten cel ani złotówki. Myślę, że na obecną chwilę nie ma co na nich liczyć. Będzie można to zrobić jak się pojawią w kancelarii parafialnej przy okazji załatwiania pogrzebu. Innego wyjścia chyba nie ma" – czytamy w ogłoszeniach parafii.

fot. Parafiabraciejowka.pl

Mieszkańcy Braciejówki są oburzeni. – Słowa księdza można interpretować tylko w jeden sposób: osoba przychodząca do kancelarii parafialnej załatwić formalności pogrzebowe, zostanie poproszona o uregulowanie zaległości. Jeśli nie uiści opłaty, nie będzie mogła pochować zmarłego? To znaczy, że godny pochówek jest uzależniony od finansowego rozliczenia z parafią? – pytają zdenerwowani.

Zgodnie z prawem (ustawa o cmentarzach i chowaniu zmarłych), ksiądz nie może odmówić pochówku na cmentarzu parafialnym nikomu (niezależnie od wyznania, światopoglądu czy braku złożonej ofiary), jeśli w danej miejscowości nie ma cmentarza komunalnego. Prawo kanoniczne zabrania również wykluczania „nieskładkowych" parafian.

– Zgodnie z kan. 1 176 par. 1 KPK „wierni zmarli powinni otrzymać pogrzeb kościelny, zgodnie z przepisem prawa", a kan. 1 177 par. 1 KPK stanowi, że „nabożeństwo pogrzebowe za każdego wiernego winno być z reguły odprawione w jego własnym kościele parafialnym". Oznacza to, że każdemu wiernemu zmarłemu przysługuje prawo do pogrzebu katolickiego we własnej parafii (bądź w innym miejscu, zgodnie z przepisami prawa). Prawo to jest niezbywalne i nie można uzależniać posługi pogrzebowej od złożenia ofiary – wyjaśnia „FpM" Dominika Bem, rzeczniczka kurii diecezjalnej w Sosnowcu, której podlega parafia w Braciejówce. – Niestety, sposób sformułowania tej prośby okazał się niefortunny i mógł sugerować, że przyszły pogrzeb będzie związany z opłaceniem składki na aktualne cele remontowe parafii. Jeśli jednak ktoś z wiernych poczuł się tym urażony lub zaniepokojony, wyrażamy ubolewanie i dołożymy wszelkich starań, aby podobna sytuacja się nie powtórzyła – dodaje.

Ogłoszenie parafialne jednak wciąż widnieje na stronie internetowej parafii.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Cerkiewna zbrodnia

ZAPOMNIANA HISTORIA

Krzemieniec, miasto leżące obecnie w Ukrainie, w połowie marca 1928 r., czyli w czasach, gdy było jeszcze polskie, poruszyła wieść o strasznej zbrodni.

Na przedmieściach Krzemieńca we wsi Czugale natknięto się na zwłoki nieznanego człowieka ze zmasakrowaną głową. Obok trupa leżały „tępe narzędzia", którymi zapewne zabito ofiarę. Dochodzenie policyjne wykazało, że denatem był 88-letni Maksym Jarmusiewicz, który w Czugale posiadał dom. Ustalono też, że nie doszło do rabunku w domu ofiary.

Zamordowany starzec dwie swoje córki wydał za mąż za prawosławnych księży, czyli popów – Stefana Wesołowskiego oraz Dmytra Nalewajkę. Jak można się domyślać, szybko chcieli wejść w posiadanie majątku teścia, ale ten odmawiał przekazania. Zrodziła się im wówczas w głowie myśl zamordowania go. Popi, omówiwszy sprawę w mieszkaniu Nalewajki ze sługą cerkiewnym niejakim Szaganem, postanowili z jego pomocą wynająć płatnego zabójcę. Wybór padł na Zosima Franczuka, który do pomocy w zbrodni dobrał sobie niejakiego Mariana Myszkę.

Była noc z 11 na 12 marca 1928 r. Myszko wszedł do mieszkania starca wywabiając go na dwór pod pozorem przyjazdu jego chorej córki. Jarmusiewicz wyszedł, a wtedy zaczajony Franczuk uderzył go siekierą w głowę. Po kilku minutach starzec zmarł.

21 grudnia Sąd Okręgowy w Równem skazał popów Wesołowskiego i Nalewajkę na 12 lat wiezienia, zaś Szagana na 4 lata. Los Franczuka, którego nie schwytano, pozostał nieznany.

Przemysław J. Łaski

Niewinny jak ksiądz

Prokuratura Rejonowa w Słupcy umorzyła śledztwo w sprawie ks. Dominika Chmielewskiego, założyciela Wojowników Maryi, stwierdzając „brak znamion przestępstwa".

fot. Facebook

Ksiądz Chmielewski jest salezjaninem, twórcą męskiej katolickiej wspólnoty Wojownicy Maryi, której celem jest „formowanie młodych mężczyzn" na „wiernych świadków Chrystusa" i „dobrych chrześcijan oraz odpowiedzialnych mężów i ojców". W marcu 2023 r. został nagle odwołany z funkcji moderatora wspólnoty i skierowany do utworzenia ośrodka rekolekcyjnego w Lądzie.

O ks. Chmielewskim usłyszeliśmy znowu w sierpniu br. gdy 30-letnia kobieta opowiedziała „Gazecie Wyborczej" o intymnej relacji, jaką miała z duchownym. Według niej, w ciągu pół roku miało dojść do kilkunastu kontaktów seksualnych. Kapłan miał wykorzystać jej wiarę oraz trudną sytuację osobistą, m.in. rozstanie z mężem oraz nieporozumienia z rodzicami i teściami. Według rzecznika inspektorii pilskiej Towarzystwa Salezjańskiego ks. Grzegorza Gruby, relacja ta była „efektem świadomej i dobrowolnej decyzji dwojga dorosłych osób". Rzecznik salezjanów przyznał jednak, że „(…) naruszyła ona normy moralne oraz zasady życia zakonnego obowiązujące w Zgromadzeniu Salezjańskim. Fakt ten został jednoznacznie oceniony jako naganny".

Wkrótce potem katolicki portal „Więź" podał, że ks. Chmielewski już od 2018 r. miewał intymne relacje z kobietami i niespecjalnie je ukrywał. „(…) w swojej nieuporządkowanej seksualności manipuluje kobietami, uzależnia je od siebie oraz instrumentalnie wykorzystuje relacje duszpasterskie, łącznie ze spowiedzią" – pisała we wrześniu br. „Więź".

Po braku reakcji ze strony zakonu 30-latka zgłosiła sprawę słupeckiej prokuraturze. Ta wszczęła śledztwo w kierunku art. 199 kodeksu karnego, który mówi o doprowadzeniu innej osoby do obcowania płciowego, poddania się albo wykonania innej czynności seksualnej przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia. Jak poinformował prok. Piotr Wrzesiński, śledztwo zostało właśnie zakończone… umorzeniem.

– Prokuratura nie stwierdziła znamion przestępstwa. Strony zostały już poinformowane o decyzji prokuratury i mogą wnieść na nie zażalenie. Takie zażalenie do prokuratury jeszcze nie wpłynęło – powiedział.

Rozwiązanie leży w kanonicznym prawie karnym lub „środkach pasterskiej troski" czy „środkach karnych zaradczych" (kan. 1 348), jakimi dysponują salezjanie. W przypadku zakonników notoryczne łamanie ślubu czystości jest wykroczeniem w obszarze dyscypliny zakonnej. Surowe procedury wydalenia z zakonu nie podlegają przedawnieniu. Czy taki proces czeka ks. Chmielewskiego? Rzecznik zakonu nie odpowiedział na nasze pytania.

KWW

eprasa.pl 472e4c9417

Czas na równość

I zrobił się kłopocik. Zwłaszcza dla tych, którzy oficjalnie są za pozostaniem w Unii Europejskiej, deklarują miłość do naszej konstytucji, ale jakoś nie mogą przełknąć równości w małżeństwie par jednopłciowych.

25 listopada br. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) wydał wyrok orzekający, że każdy kraj członkowski Wspólnoty musi sankcjonować małżeństwa jednopłciowe zawarte w innym państwie. A więc, jeśli jakieś osoby pobrały się na przykład w Holandii, to w Polsce również mają te same prawa: są małżeństwem. W zasadzie to proste i logiczne: przekroczenie granicy nie unieważnia przecież małżeństwa. Tak się jednak składa, że w Polsce nie ma nawet odpowiednich druków, które pozwalałyby na wpisanie do aktu małżeństwa numerów PESEL osób tej samej płci. Więc w Polsce nawet nasi obywatele i obywatelki, jeśli są tej samej płci, nie mogą dalej być małżeństwem. Taki mały hokus-pokus hipokryzji: w katolickim kraju nie uznaje się małżeństw jednopłciowych.

„Za", ale...

No i mamy problem. Unia Europejska – wyrokiem TSUE – potwierdza konieczność uznania zawartego małżeństwa, co dla rodzimych fanatyków oznacza rozpacz. W tym względzie, niestety, łączą się ludzie z różnych ugrupowań, przy czym jedni robią to jawnie, inni po cichu jęcząc udają, że niby są „za", ale tak naprawdę... Nie bez przyczyny przecież zniknęło Ministerstwo do spraw Równości, a ministra Kotula stała się pełnomocniczką rządu do spraw równego traktowania. Widać, że nawet obecny rząd, choć deklaratywnie jest za równością, ma z tym problem. Tymczasem ani pary jednopłciowe nie doczekały się obiecanych im praw, ani kobiety nie mają szczęścia w dochodzeniu swoich.

Ten wielki prawicowy opór przed uznaniem równości wszystkich wobec podstawowych praw, jak prawo do małżeństwa, godności, wychowywania dzieci, bezpieczeństwa i stabilizacji, oparty jest na katolickim dogmatyzmie. Tak naprawdę nic nie pozwala na uzasadnienie niechęci względem osób ze środowisk LGBTQ+ poza obsesyjną wręcz, płynącą z ambon niechęcią do „ideologii gender" i „tęczowej zarazy". Ta podsycana uprzedzeniami nienawiść stała się jedyną barierą blokującą zmianę prawa w Polsce.

Źródło zła

Niechęć do uznania praw par jednopłciowych najwięcej mówi o Kościele katolickim i jego wyznawcach. Ta instytucja zatrzymała się w czasach, kiedy niejaki Paweł z Tarsu zaszczepiał wśród swoich wyznawców dość wypaczone wizje cielesności, seksualności i relacji międzyludzkich. Wedle tegoż Pawła, okrzykniętego świętym, ciało jest źródłem zła i zepsucia, a seksualność jest niebezpieczna. Piętnował również homoseksualizm jako występny i zły. W efekcie z tego co normalne uczynił zło i wypaczenie. I tu dochodzimy do największego absurdu. Choć do końca na pewno nie wiemy, czy św. Paweł w ogóle żył, w Polsce w XXI w. mamy przyjmować jego chore wizje, spisane nie wiadomo przez kogo. Ale jak coś zostało przyporządkowane „słowu bożemu", nabrało rzekomo sensu.

Dla państwa kościelnego wyrok TSUE staje się ogromnym problemem, zmusza bowiem do odstąpienia od dotychczasowych wymagań. Zobaczymy, czy ta Temida, która mieszka w Polsce, naprawdę jest ślepa... Na razie jest zamęt, a w Kościele poruszenie. Gdyby jednak Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji dostosowało regulacje do unijnego zapisu, byłby to pierwszy krok nie tylko do uzyskiwania praw przez środowiska LGBTQ+, ale również do zeświecczenia naszego kraju.

Więc bardzo dużo może się wydarzyć. Mała zmiana, małe dostosowanie do wymogów unijnych mogą okazać się początkiem odchodzenia od wasalnych relacji z Watykanem. Tylko kto się na to odważy? Na szczęście, marszałkiem Sejmu nie jest już człowiek, który dwukrotnie próbował zostać zakonnikiem i uważał, że bóg mu wskazał drogę do polityki, a człowiek lewicy. Pojawiła się presja, która może nam przynieść nową jakość. Bo też czas najwyższy na zmianę.

Niezależnie od tego, jak bardzo będzie przynaglać nas wyrok TSUE, nagli nas, i to od dawna, zwykła przyzwoitość i sprawiedliwość. Przecież wszyscy są równi wobec prawa – rzecze nasza konstytucja. Czas pokazać tę równość.

prof. Joanna Hańderek

Razem w boju

W bezwzględnie słusznym i oczywistym – jak na lewicę przystało – proteście przeciwko ludobójstwu, jakie urządził rząd Izraela Palestyńczykom w Strefie Gazy, białostoccy działacze A. Zandberga poszli ciut za daleko.

Przywołując wszystko, co jak najbardziej humanitarne w osądzeniu polityki krwawego „Bibiego", pokazali przy okazji kompletny brak szerszej refleksji, że w Izraelu wszyscy myślą tak, jak będący u władzy establishment. 8 października białostoccy działacze Razem złożyli w Radzie Miasta ostrą petycję.

„W 2022 roku w obliczu zbrojnego ataku Rosji na Ukrainę włodarze miast nie mieli wątpliwości, że naszym moralnym obowiązkiem jest natychmiastowe zerwanie współpracy z rosyjskimi miastami. Tymczasem od prawie 2 lat świat widzi izraelskie zbrodnie w Strefie Gazy, a włodarze naszego miasta kontynuują współpracę z miastem Yehud. W naszej ocenie zerwanie relacji z tym miastem będzie nie tylko dowodem potępienia zbrodni ludobójstwa w Palestynie, ale również stanie się formą międzynarodowego nacisku na izraelskie władze, żeby zaprzestały działań wojennych wymierzonych w palestyńską ludność cywilną i respektowały prawa człowieka" – napisali.

Wszyscy winni!

Nie trzeba było długo czekać na ripostę, która ukazała się w portalu Jewisz.pl. Jej autorką jest socjolożka Helena Datner, wdowa po prof. Pawle Śpiewaku. „Abstrahując od Państwa diagnozy sytuacji (co nie jest łatwe, ponieważ nie zgadzam się z dużą częścią Państwa stwierdzeń) pytam: na mocy jakiego przewodu logicznego, jakiej wiedzy o stosunku mieszkańców Yehud do działań rządu ich państwa, jakiego moralnego prawa chcą ukarać Państwo wszystkich mieszkańców za działanie grupy (w tym przypadku mającej władzę)? Postulują Państwo zerwanie stosunków, posługując się przy tym frazeologią, która niezawodnie prowadzić musi do dalszego wzmacniania nienawiści do Izraelczyków i wszystkich Żydów, niezależnie, niestety, od tego, co Państwo powiedzą w tym miejscu o swoich intencjach" – napisała socjolożka. (...) „Jestem zdecydowanie przeciwna totalnemu bojkotowi, nie rozumiałam jego przesłanek w odniesieniu do Rosji, nie rozumiem w odniesieniu do Izraela – dodała.

Najciekawsze jednak ma dopiero nastąpić...

Karać swoich!

„W przypadku miasta Yehud trafiliście Państwo wyjątkowo głupio: w centrum współpracy tego miasta z Białymstokiem leży Kiriat Bialystok (hebr.), czyli miasteczko Białystok, kilkanaście domków, które na początku lat 50. ubiegłego wieku wybudowało Ziomkostwo Białostockie, w obecnych ramach administracyjnych miasta Yehud, dla Żydów z Białegostoku, którzy po wojnie znaleźli się w Izraelu; chcieli oni mieszkać razem, razem wspominać białostocką przeszłość i utratę tamtego świata. Teraz Kiriat Bialystok to niewielka grupa bardzo niemłodych osób, które z wielkim nakładem sił dbają o białostocką spuściznę. Zerwanie współpracy z Kiriat Bialystok przyniesie partii Razem, Polsce i światu ogromny zysk moralny, prawda? Piszę to jako obywatelka Polski, a także jako potomkini żydowskiej rodziny związanej od przedwojnia z Białymstokiem; mój ojciec, Szymon Datner, był jednym z pomysłodawców założenia Kiriat Bialystok. Towarzyszy mi poczucie zażenowania i gniewu. Także wstydu, tym bardziej, że autorami oświeconego niebywale postulatu zerwania stosunków ze wszystkimi w mieście Yehud są ludzie lewicy. Lewicowość w jej nieautorytarnej formie oznacza dla mnie szacunek dla każdego człowieka, jeśli nie popełnił zbrodni. Czy dla Państwa także?" – napisała pani H. Datner.

Rada Miasta Białystok ma trzy miesiące, licząc od daty wpływu petycji do urzędu, na przyjęcie bądź odrzucenie w formie uchwały „razemkowego" postulatu. Najmądrzej zrobiliby wycofując swoją petycję – przyznając się do niewiedzy – ale do tego trzeba mieć jaja mocniejsze od izraelskich bomb...

Wacław Jerzy Koniecpolski

eprasa.pl 472e4c9417

Pytania dotyczące Biblii (217)

Bliskowschodnie fakty i mity

Za sprawą izraelskiej ofensywy militarnej w Gazie serwisy agencyjne na całym świecie coraz większą winą za eskalację konfliktu obarczają rząd Izraela.

Zwiększyło się także antyżydowskie nastawienie państw arabskich, chociaż – począwszy od roku 1948 aż do 7 października 2023 r. – izraelska militarna reakcja była raczej odpowiedzią na ich ataki. Zamiast zatem oskarżeń wyłącznie pod adresem Izraela należałoby raczej postawić pytanie: dlaczego Fatah, Hamas, Hezbollah oraz ich sprzymierzeńcy z taką nienawiścią atakują państwo Izrael?

Jakie są tego powody?

Cóż, arabscy ekstremiści nigdy nie ukrywali tego, że uważają, iż Izrael nie ma prawa do istnienia jako państwo. I dlatego dążą do jego zniszczenia podkreślając, że sprawiedliwość i pokój zapanują na Bliskim Wschodzie tylko wówczas, gdy powstanie niezależne państwo palestyńskie ze stolicą w Jerozolimie. Bo według nich, tam właśnie znajdują się ich miejsca święte.

Al-Fatah niejednokrotnie podkreślał, że ich organizacja przenigdy nie uzna Izraela i nigdy nie cofnie wezwania do jego zniszczenia. Przypomnijmy jednak, że kiedy podczas wojny w 1948 r. Jordania przechwyciła Zachodni Brzeg wraz z Jerozolimą, żaden Arab nie domagał się powstania państwa palestyńskiego na Zachodnim Brzegu. Dopiero, kiedy w 1967 r. Izrael odzyskał swoje historyczne terytoria, Judeę i Samarię, pojawiły się żądania zmierzające do stworzenia państwa palestyńskiego. Warto też zauważyć, że kiedy tereny te, zarządzane wcześniej przez Jordanię, zajął w 1967 r. Izrael, nie zostały one odebrane ani Arafatowi, ani Palestynie (takie państwo nie istniało), tylko Hussajnowi – królowi Jordanii. Dopiero później, w 1969 r. Arabowie zaczęli domagać się utworzenia palestyńskiego państwa. Później tzn. wtedy, kiedy dzięki polityce Izraela nastąpił już wyraźny zryw gospodarczy i poprawiły się warunki życia w tym kraju. Wcześniej bowiem, mimo sześćsetletniej dominacji muzułmańskiej (od około 1200 r. n.e. do roku 1917 r.), nikt nie myślał o powstaniu odrębnego państwa palestyńskiego.

Pomijana prawda

Ten krótki przegląd faktów na temat roszczeń Palestyńczyków potwierdza więc, że Palestyna nigdy nie istniała jako jednostka autonomiczna. Nie istnieje też odrębny język palestyński, bo Palestyńczycy to Arabowie, niczym nieróżniący się od Jordańczyków, Syryjczyków, Libańczyków.

Co więcej, w przeciwieństwie do arabskich Palestyńczyków, Izrael stał się narodem i sprawował władzę nad Ziemią Obiecaną już od czasu podboju Kanaanu aż do powstania w latach 132-135 n.e. Również później Żydzi przebywali w tej ziemi i zachowywali stałą swoją obecność aż do powstania Państwa Izrael w 1948 r. Poza tym, od czasu zdobycia Jerozolimy przez króla Dawida ok. 1000 r. p.n.e. Jerozolima stała się również żydowską stolicą, w której później król Salomon zbudował świątynię, na górze Moria (2 Krn 3,1), gdzie Abraham około 1800 r. p.n.e. chciał poświęcić swojego syna Izaaka (Rdz 22,1-18). Innymi słowy, związek Żydów z Jerozolimą sięga czasów Abrahama, a Jerozolima nigdy nie była stolicą jakiegokolwiek państwa arabskiego.

Arabscy ekstremiści nigdy nie ukrywali tego, że uważają, iż Izrael nie ma prawa do istnienia jako państwo. I dlatego dążą do jego zniszczenia podkreślając, że sprawiedliwość i pokój zapanują na Bliskim Wschodzie tylko wówczas, gdy powstanie niezależne państwo palestyńskie ze stolicą w Jerozolimie.

Mało tego, w Biblii Jerozolima jest wspominana ponad 700 razy. Natomiast w Koranie nie ma o niej ani jednej wzmianki, chociaż muzułmanie twierdzą, że Jerozolima jest miejscem, z którego Mahomet wstąpił do nieba. Warto jednak podkreślić, że jakkolwiek Koran wymienia setki razy Mekkę i Medynę, to jednak ani razu nie wymienia Jerozolimy. Fragment, na który powołują się muzułmanie, mówi wprawdzie o wizji Mahometa, w której został on nocą przeniesiony (w duchu czy we śnie?) do jakiegoś świętego miejsca, ale nie wymienia Jerozolimy. Dosłowny cytat tego fragmentu opisuje to tak: „Chwała Temu, który przeniósł Swego sługę nocą ze Świętego Meczetu do Meczetu Dalekiego, którego otoczenie pobłogosławiliśmy, aby pokazać mu niektóre z Naszych znaków!” (Koran. Podróż nocna. Sura 17,1). Ponadto, nie ma żadnego historycznego dowodu na to, żeby Mahomet, który zmarł w 632 r., kiedykolwiek był w Jerozolimie.

Oddzielić mity od faktów

Mitem jest też twierdzenie, że Palestyna była zawsze krajem arabskim. Arabscy Palestyńczycy nie mają bowiem nic wspólnego z Filistynami (od nich pochodzi termin Palestyna), ponieważ Filistyni zniknęli z mapy świata w VI wieku p.n.e. Prawdą natomiast jest, że Judeę nazwali Palestyną Rzymianie, i to dopiero po stłumieniu powstania żydowskiego w 135 r. n.e., aby dodatkowo upokorzyć i pognębić naród żydowski. Jerozolimę natomiast nazwali *Aelia Capitolina*, bo nazwa ta pochodzi od rodu Aelia Hadriana, zaś termin *Capitolina* od poświęcenia miasta Jowiszowi Kapitolińskiemu, który – jak i świątynia Jowisza zbudowana na miejscu świątyni żydowskiej – miał zastąpić kult Boga Żydów.

Prawdą jest również to, że po I wojnie światowej to właśnie Brytyjczycy ponownie nazwali dawną Ziemię Izraela terminem „Palestyna”; że faworyzowali Arabów nawet po II wojnie światowej i prowadzili politykę nieprzychylną narodowi żydowskiemu, chociaż ich położenie było aż nadto trudne, gdyż religijnym i politycznym przywódcą Arabów był już od pewnego czasu al-Husajni, sprzymierzeniec Hitlera i zaciekły wróg Żydów.

Mitem jest także twierdzenie, że Palestyńczycy są potomkami Kananejczyków i zamieszkiwali tę ziemię na długo przed Żydami. Ponieważ jednak pisałem o tym w dwóch wcześniejszych artykułach „Palestyna – czyja to ziemia?”, przypomnę tylko, że Kananejczycy zniknęli z powierzchni ziemi już około trzech tysięcy lat temu.

Wymowne liczby

Warto także spojrzeć na wymowne liczby dotyczące Arabów i Żydów. Podczas gdy Arabowie kontrolują ok. 99,9 proc. ziem Bliskiego Wschodu, Izrael zajmuje zaledwie 0,1 proc. tego obszaru. Powierzchnia 22 państw arabskich wynosi 9,7 miliona hektarów, natomiast Izraela zaledwie 22 145 ha. Podczas gdy na świecie żyje 1,9 miliarda muzułmanów, Żydów na świecie jest zaledwie około 16 milionów, a w samym Izraelu tylko nieco ponad 9 milionów.

Godne uwagi jest również to, że w samej tylko Europie żyje ponad 25 mln muzułmanów: we Francji ponad 6 mln, w Niemczech ponad 4 mln, a w Wielkiej Brytanii ponad 3 mln.

Wprawdzie niektórzy politycy są niezadowoleni z rosnącej liczby muzułmanów, bo podczas gdy populacja „starych Europejczyków” wymiera i wskaźnik dzietności wciąż maleje, to liczba urodzin w wśród muzułman systematycznie wzrasta. Mimo to Europa nadal sprzyja migrantom z państw arabskich.

Jak więc można by najprościej rozwiązać niekończący się konflikt na Bliskim Wschodzie?

Cóż, skoro Europa przyjęła tylu imigrantów arabskich, równie dobrze bogate państwa arabskie mogłyby przyjąć arabskich Palestyńczyków, swoich braci w wierze, których jest zaledwie ok. 5 mln. Czy nie warto by tego zrobić w zamian za pokój, skoro nie ma woli dla uznania dwóch państw? Ale czy tak się stanie? Nie! Bo to zbyt proste, a politycy lubią wszystko komplikować, zwłaszcza kiedy są skorumpowani i niekompetentni, jak w przypadku Autonomii Palestyńskiej na Zachodnim Brzegu.

Bolesław Parma

eprasa.pl 472e4c9417

Spod kardynalskiego kapelusza

Krakowska eminencja

fot. AI / Wikimedia

Kraków od dawna traktowany jest w instytucjonalnym Kościele jako stolica biskupia dla kardynała.

Awans na ordynariusza tej diecezji był niemal równoznaczny z tym, że biskup krakowski wkrótce otrzyma prestiżowy kapelusz kardynalski. Obecnie kardynalski biret każdemu nominatowi podczas uroczystego konsystorza publicznie nakłada na głowę sam papież. Dlatego, gdy w 2016 r. nowym metropolitą krakowskim został dotychczasowy metropolita łódzki abp Marek Jędraszewski, wszyscy oczekiwali, że to tylko kwestia czasu, gdy będzie nowym polskim kardynałem. Jednak nie został Księciem Kościoła, co ten kościelny celebryta odebrał niezwykle boleśnie, jako swój osobisty dramat.

Wychowanek „Pięknego Julka”

Już sama nominacja arcybiskupa Jędraszewskiego na metropolitę krakowskiego wzbudzała niezwykłe emocje, bo znany był jako bliski współpracownik byłego metropolity poznańskiego abp Juliusza Paetza, który jako czynny gej zrobił zawrotną karierę w Watykanie u boku innego geja papieża Pawła VI. Gdy papieżem został Polak Jan Paweł II, „Piękny Julek” liczył, że jego kościelna kariera nabierze jeszcze większego rozpędu. W grudniu 1982 r. papież zadecydował jednak inaczej i podniósł go do godności biskupa, ale równocześnie zamianował ordynariuszem łomżyńskim, a w 1996 r. metropolitą poznańskim. W rezultacie skutecznie pozbył się go ze swojego otoczenia. Tak w praktyce święty papież od wadowickich kremówek rozumiał walkę z gejowskim lobby w instytucji, którą zarządzał od października 1978 r.

Kiedy więc wychowanek „Pięknego Julka” zasiadł przed dziewięcioma laty na wawelskim tronie biskupów krakowskich, emocje sięgnęły zenitu. Wierni i krakowscy księża spodziewali się bowiem, że następcą kard. Stanisława Dziwisza zostanie bardzo popularny w archidiecezji, dotychczasowy biskup tytularny i pomocniczy krakowski Grzegorz Ryś. Był on tam powszechnie lubiany i ceniony, ale równocześnie nieakceptowany przez prezydenta RP Andrzeja Dudę, który chciał widzieć na krakowskim tronie bardziej konserwatywnego hierarchę.

Arcybiskup Marek Jędraszewski od zawsze był bliski politykom polskiej prawicy, mimo iż od lat wiedzieli, jak wyglądała jego droga na kościelne szczyty. W tej kwestii hipokryzja polityków i duchowieństwa były zgodne. Metropolita krakowski wspierał politycznych sojuszników nie tylko w publicznych wystąpieniach, ale także w praktycznych działaniach i decyzjach personalnych przy nominacjach w swojej archidiecezji. Jako długoletni zastępca przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski udzielał im poparcia także w wymiarze ogólnopolskim.

Pamiętamy jego szokujące publiczne wystąpienia, m.in. gdy na wawelskim wzgórzu krzyczał o zagrożeniu „tęczową zarazą” naszego kraju. Spotkało się to z ostrą medialną – choć nie moją, bo zawsze cenię sobie, gdy na jakiś temat wypowiada się fachowiec – krytyką Jędraszewskiego. A ten hierarcha jak mało który wie dużo o życiu w cieniu tęczy. Prezentował w tej kwestii narrację zgodną z życzeniem skrajnej polskiej prawicy. No cóż: nie każdy, kto krzyczy „łapać złodzieja!”, ma odpowiednie kwalifikacje na policjanta.

Marek i zawiedzione nadzieje

Spodziewano się, że już w lipcu 2024 r. dojdzie do zmiany na wawelskim tronie biskupa krakowskiego, ale kolejne terna – dokumenty z nazwiskami trzech kandydatów, z których Watykan wybiera jednego – były odrzucane przez Dykasterię do spraw Biskupów. Na jej czele stał Amerykanin kard. Robert Prevost, a od maja 2025 r. Leon XIV. I dopiero 26 listopada 2025 r., z woli tego papieża, ogłoszono wiadomość, że kard. Grzegorz Ryś wraca do Krakowa.

Odebrałem tę decyzję jako naprawienie przez watykańską dyplomację błędu z 2016 r., bo po co było przenoszenie abp. Marka Jędraszewskiego z Łodzi do Krakowa, a bp. Grzegorza Rysia z Krakowa do Łodzi? Teraz Ryś jako kardynał obejmuje tron metropolity krakowskiego. Dziewięć lat rządów „Małego Marka” w archidiecezji krakowskiej to wystarczająco długo, aby ją jeszcze bardziej upodlić moralnie i upolitycznić, ale czy rozpoczynające się teraz rządy „Małego Grzegorza” poprawią wizerunek krakowskiego Kościoła? To pytanie stawiają sobie zarówno wierni archidiecezji krakowskiej, jak i liczni publicyści obserwujący obecny Kościół w Polsce.

Grzegorzowe wyzwania

Odpowiedź na to pytanie nie jest ani łatwa, ani jednoznaczna. Przychodzący teraz do Królewskiego Krakowa kardynał urodził się w tym mieście, tu się wychował, tutaj był klerykiem, księdzem, rektorem tutejszego seminarium duchownego, a także biskupem pomocniczym. Zna tę diecezję jak mało kto, ale czy to wystarczy? Nowo mianowany metropolita krakowski jest ceniony przez krakowskich intelektualistów, co szczególnie w tym mieście jest niezwykle istotne. Niewątpliwie należy do reformatorów współczesnego Kościoła. Uchodzi za lidera tak zwanego otwartego Kościoła. Jest gotowy na dialog zarówno z wiernymi, jak i tymi, którzy do niego nie należą. Przez dziewięć lat zrobił wiele, aby tak trudna archidiecezja łódzka otworzyła się także na nową ewangelizację, prawdziwy, a nie udawany dialog z wiernymi w ramach synodu Kościoła powszechnego, ale także na terenie archidiecezji i każdej parafii.

Wstrząsem dla wielu katolickich konserwatystów była ostatnia decyzja kar. Rysia, aby to właśnie w archidiecezji łódzkiej powołać pierwszą w kraju, w pełni niezależną komisję (składającą się wyłącznie z osób świeckich), do zbadania skali seksualnych nadużyć wobec dzieci i młodzieży duchowieństwa pracującego na jej terenie w latach 1945-2025. Czy następca kardynała w archidiecezji utrzyma działalność i niezależność tej komisji?

Także rodzima archidiecezja kardynała czeka na takie oczyszczenie. Zarówno moralne, jak i historyczne, bo wiemy, jak wiele dramatów z udziałem dzieci i młodzieży rozgrywało się w tym czasie także na terenie archidiecezji krakowskiej, gdy na jej czele stały filary Kościoła krakowskiego: kard. Adam Sapieha, kard. Karol Wojtyła czy kard. Franciszek Macharski; a ostatnio jakże nieudolnie zarządzali nią: kard. Stanisław Dziwisz i abp Marek Jędraszewski. Czy zatem nowemu krakowskiemu metropolicie wystarczy odwagi, by zmierzyć się z jakże bolesną prawdą i powołać równie niezależną komisję w archidiecezji krakowskiej? Nawet, gdy miałaby ucierpieć na tym pamięć jego poprzedników, którym sam kardynał tak wiele w swoim życiu zawdzięcza?

Oczyszczenie moralne archidiecezji to także niezwykle trudne decyzje personalne, ponieważ Kościół krakowski to obecnie dwa zwalczające się światy. Pierwszy to obóz kościelnych ogierów ze stajni kard. Stanisława Dziwisza, drugi to równie upadły moralnie obóz ogierów ze stajni odchodzącego na emeryturę abp. Marka Jędraszewskiego. Czy przychodzący na Franciszkańską 3 kardynał będzie potrafił skutecznie okiełznać rozbestwione ogiery z obu kościelnych stajni? Już dziś słyszymy nieprzychylne głosy ze stajni arcybiskupa i radosne rżenie ze stajni dawnego kardynała. Jednak uprzedzam: moralne oczyszczenie archidiecezji nie polega na wyborze pomiędzy tymi lub innymi kościelnymi ogierami czy ich wpływowymi protektorami. Nie polega na przerzuceniu owsa z jednego żłobu do drugiego, więc kardynał musi wykazać się tu umiejętnością nie tylko w prowadzeniu kościelnej dyplomacji, ale także zwykłą ludzką uczciwością i moralnością. Na jego ręce bowiem będzie patrzył teraz nie tylko Kraków, ale i cała Polska.

Będziemy patrzeć także i my. Uroczysty ingres nowego metropolity do Królewskiej Archikatedry na Wawelu już 20 grudnia 2025. Czujemy się tam zaproszeni. Ale coś mi mówi, że o krakowskiej eminencji usłyszymy i napiszemy w tym tygodniku jeszcze wiele razy. Bo badania kościelnych faktów po mitach to też nasze osobiste powołanie.

Andrzej Gerlach

eprasa.pl 472e4c9417

Lubimy wódę, pieniądze, luksusowe samochody i panienki. Dlaczego to nie my jesteśmy agentami?!

Agentów CBA z

Koalicja 15 października zapowiedziała likwidację Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Jak na razie nic z tego nie wyszło, ale agenci już od dawna szukają sobie nowych zajęć.

Gdy w 2006 r. PiS tworzyło CBA, politycy tej partii zapewniali, że będzie to apolityczna i profesjonalna służba walcząca z korupcją. Na jej czele stanął historyk Mariusz Kamiński, poseł PiS i były przywódca zadymiarskiej Ligi Republikańskiej. Wiceszefem CBA został archeolog Maciej Wąsik, również były aktywista Ligi, były stołeczny radny PiS i burmistrz Wawra, a za prezydentury Lecha Kaczyńskiego szef warszawskiej Straży Miejskiej.

Wojna totalna

Jeszcze przed formalnym powstaniem Biura, Kamiński zapowiedział, kto znajdzie się na celowniku specsłużby: „Są w Polsce tzw. wielcy biznesmeni, którzy kolekcjonują w swoich spółkach byłych ministrów, byłych posłów. Chcemy powiedzieć takim panom jak pan Kulczyk, pan Gudzowaty, pan Krauze: *jeśli liczą, że dzięki temu będą odnosili korzyści w biznesie, to są w wielkim błędzie*". Zaprotestowały organizacje biznesowe. „CBA w swoich działaniach może skręcić w stronę odwetowego środka represji i obrócić się przeciwko demokratycznemu porządkowi politycznemu i społecznemu" – stwierdziła Rada Przedsiębiorczości RP.

Jan Kulczyk nie żyje, Aleksander Gudzowaty nie żyje, a Ryszard Krauze stracił majątek i wpływy…

Sami swoi

Kamiński i Wąsik, „wybitni" fachowcy od zwalczania przestępczości korupcyjnej, dobrali sobie równie „wybitnych" współpracowników. Na stanowiskach dyrektorskich i naczelników wydziałów znaleźli się m.in.: Iwona Stankiewicz, działaczka Ligi Republikańskiej i sekretarka w KPRM w rządach Kazimierza Marcinkiewicza oraz Jarosława Kaczyńskiego; Jarosława Maćkowiak i Krystyna Pietrzyk, byłe radne warszawskiego PiS i wiceburmistrzynie Mokotowa za prezydentury Lecha Kaczyńskiego; Krzysztof Fido, były radny PiS warszawskiej dzielnicy Wola; Rafał Werbanowski, urzędnik dzielnicy Warszawa-Wawer; Dorota Łakomy, była kustosz archiwum IPN; Wojciech Bułhak, historyk IPN; Piotr Gontarski, był pracownik IPN i Urzędu ds. Kombatantów; Antoni Zieliński były szef biura Rzecznika Interesu Publicznego i były członek komisji Antoniego Macierewicza weryfikującej WSI. Na 26 kierowniczych stanowisk w CBA, 20 zajmowały osoby związane z polityczną prawicą.

Szeregi CBA hurtowo zasilili działacze PiS, harcerze, stołeczni strażnicy miejscy, byli pracownicy IPN, Urzędu ds. Kombatantów, Biura Rzecznika Interesu Publicznego i... znajomi królika. Silną ekipę stanowili ludzie Lecha Kaczyńskiego z czasów, gdy ten był prezesem Najwyższej Izby Kontroli i prezydentem Warszawy.

Spasione koty

Towarzystwo miało się pysznie. Pisowska służba antykorupcyjna wywalczyła sobie zarobki dwa razy wyższe niż policja oraz wyższe niż inne specsłużby. Początkujący agent zarabiał ok. 4 tys. zł; eksperci – ok. 6 tys.; naczelnicy wydziałów – powyżej 7 tys.; dyrektorzy zarządów – ok. 8 tys. Do tego dochodziły premie, dwie nagrody roczne i nagrody uznaniowe za „znaczące wyniki w służbie, wykonywanie zadań (...) wymagających zaangażowania i odpowiedzialności".

W lipcu 2007 r. ok. 60 najbardziej zaufanych ludzi Mariusza Kamińskiego dostało do podziału 600 tys. zł jako nagrodę za ściganie korupcji w resorcie Andrzeja Leppera. Jak wiemy, akcja zakończyła się kompromitacją, a Mariusz Kamiński, Maciej Wąsik, Grzegorz Postek i Krzysztof Brendel zostali skazani na więzienie za preparowanie dowodów, by wrobić przywódcę Samoobrony. Nagrody przyznawano też za inne polityczne akcje, które zakończyły się skandalami. Za wręczenie łapówki Beacie Sawickiej i burmistrzowi Helu (by „Polacy wiedzieli, na kogo głosować" – jak mówił Kamiński) 50 agentów dostało do podziału 700 tys. zł. Za poszukiwania rzekomo ukrytego majątku Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich – wypłacono ponad 270 tys. zł, a CBA zostało z kupioną przez agenta willą.

fot. AI

Jeśli już jesteśmy przy „sukcesach" CBA, warto przypomnieć też akcję o kryptonimie „Mengele". W 2007 r. z gabinetu w szpitalu MSWiA w Warszawie agenci CBA wyprowadzili w kajdankach dr. Mirosława G., jednego z najlepszych kardiochirurgów. Potem, na konferencji prasowej z udziałem Mariusza Kamińskiego i Zbigniewa Ziobry, medyka oskarżono o korupcję i zabójstwo pacjenta. Zarzut zabójstwa został zmyślony, ale PiS rozpętało wówczas nagonkę na środowisko rzekomo zdemoralizowanych i skorumpowanych lekarzy, a transplantolodzy nazywani byli mordercami.

Za chlebem i paliwem

Paweł Wojtunik, który stanął na czele CBA w 2009 r., zapowiedział odpolitycznienie i sanację antykorupcyjnej służby, ale nie udało mu się ich do końca przeprowadzić. W 2015 r., gdy PiS ponownie doszło do władzy, Wojtunik został zdjęty ze stanowiska. Jednak wielu byłych agentów CBA rozpierzchło się. Znaleźli sobie atrakcyjne, lepiej płatne posady w spółkach Skarbu Państwa i biznesie.

Wiosną 2021 r. Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej" ujawnił nazwiska byłych agentów CBA, którzy dzięki Danielowi Obajtkowi dostali posady w spółkach Energa, Lotos i Orlen. Spektakularną karierę zrobiła Sylwia Kobyłkiewicz. Dama ta pracowała w krakowskiej delegaturze CBA i nadzorowała weryfikację oświadczeń majątkowych ówczesnego wójta Pcimia. Kobyłkiewicz odeszła z CBA w 2012 r. i założyła działalność gospodarczą z zakresu doradztwa w dziedzinie finansów i zamówień publicznych oraz prawa podatkowego dla samorządów z woj. małopolskiego. Była agentka w latach 2014-2015 pracowała dla Obajtka, a gdy ten został rzucony przez Jarosława Kaczyńskiego na odcinek biznesu, poszła za nim. Najpierw dostała posadę w Enerdze, potem awansowała na dyrektora biura audytu w Orlenie, by w końcu zostać członkiem zarządu i prezesem Orlen Upstream (spółka zajmuje się poszukiwaniem i eksploatacją złóż węglowodorów – przyp. red.).

Stefan Rudecki, jeden z byłych dyrektorów CBA, został doradcą Obajtka. Adrianna Sikorska, była analityczka CBA, trafiła na stołek wiceprezeski Grupy Energa. Łukasz Lipiec z warszawskiej delegatury CBA stanął na czele Rady Nadzorczej spółki Orlen Ochrona. W Enerdze Obrót posadę wiceprezesa dostał Artur Czarnecki, były agent z Gdańska. Do Lotosu na stanowisko dyrektora ds. bezpieczeństwa trafił Roman Marzec, były szef delegatury CBA w Gdańsku. Wiceprezesem Energi Operator został Wiesław Jasiński, też były dyrektor gdańskiej delegatury CBA. Jasiński odpowiadał za rozpracowywanie ściganego przez PiS biznesmena Ryszarda Krauzego. Pożegnał się ze służbą w 2010 r. po zdymisjonowaniu Mariusza Kamińskiego. Gdy PiS wróciło do władzy, został wiceministrem finansów, ale odszedł po ujawnieniu, że w resorcie działała mafia vatowska.

Na stołek dyrektora Biura Kontroli i Bezpieczeństwa w Orlenie Obajtek ściągnął Zbigniewa Laska, byłego naczelnika wydziału realizacyjnego CBA za czasów Mariusza Kamińskiego i współzałożyciela Grom Group – firmy ochroniarskiej odpowiadającej za bezpieczeństwo prezesa PiS. Nazwisko Laska przewija się w aferze inwigilacyjnej, w związku z którą były prezes Orlenu stracił immunitet europosła i usłyszał zarzuty nadużycia uprawnień i wyrządzenia szkody majątkowej w nadzorowanej przez siebie spółce na prawie 400 tys. zł. Zdaniem prokuratury, Obajtek za te pieniądze wynajął prywatnego detektywa, który oficjalnie miał zajmować się „identyfikacją i udokumentowaniem działań nieuczciwej konkurencji wobec spółki Orlen", a faktycznie szpiegował posłów ówczesnej opozycji. Nieoficjalnie wymienia się:

eprasa.pl 472e4c9417

życie po życiu

Bartłomieja Sienkiewicza, Marcina Kierwińskiego, Roberta Kropiwnickiego, Jana Grabca, Marka Sowę i Pawła Poncyliusza. To właśnie Lasek miał podpisać felerne umowy z detektywem. Według prokuratury, Obajtek posłużył się Laskiem wykorzystując zależność służbową mając „świadomość, że będzie to stanowiło nadużycie uprawnień w zakresie zarządzania mieniem spółki, a charakter zleconych usług detektywistycznych będzie niezgodny z celem i zakresem umów z uwagi na zamierzony od samego początku zamiar gromadzenia informacji na temat stanu majątkowego, danych osobowych, życia prywatnego polityków opozycji parlamentarnej, jak również ich spotkań z wyborcami lub sympatykami”.

Podwładną Laska w pionie bezpieczeństwa została Barbara Feć, była analityczka CBA w Warszawie. „Obstawiając się byłymi agentami CBA, Daniel Obajtek może liczyć na ich kontakty. Ci ludzie mają w służbie kolegów, dostęp do baz danych i akt spraw. Taki układ daje poczucie bezkarności, ale może też stanowić odpowiedź na pytania o brak reakcji Biura na to, co obecnie dzieje się wokół Obajtka” – mówił „Gazecie Wyborczej” były szef CBA Paweł Wojtunik.

Samoloty i prostytutka

Byli agenci CBA objęli intratne stanowiska także w innych spółkach Skarbu Państwa. Jesienią 2019 r. w programie „Superwizjer” TVN ujawniono, że w państwowym przedsiębiorstwie Porty Lotnicze zatrudniono byłego agenta CBA, który wyszukując „haki” miał doprowadzić do zwolnienia dyscyplinarnego ok. 40 osób. Inny były agent najpierw podpisał z Portami Lotniczymi wartą 120 tys. zł umowę na przeprowadzenie audytu, a potem został zatrudniony w spółce. Pracę dostała również jego żona. Władze Portów Lotniczych zatrudniły też byłego dyrektora Departamentu Operacyjno-Śledczego w CBA.

Były agent CBA Artur Ch. trafił do firm zależnych od KGHM i PZU. To ciekawa postać. Zanim wstąpił do CBA, był dziennikarzem „Gazety Wyborczej” i „Pulsu Biznesu”. Według Onetu, gdy pracował we wrocławskiej delegaturze CBA, wprowadził na teren jednostki prostytutkę. „To była skandaliczna sytuacja, bo w budynku znajdowała się broń i tajne dokumenty (…) postronna osoba nie miała prawa się tam poruszać. Powiem szczerze, że przez 30 lat pracy w różnych służbach nie spotkałem się z taką sytuacją” – mówił rozmówca portalu.

Artur Ch. był też podejrzewany o przekazywanie tajnych informacji propisowskim mediom, za co został dyscyplinarnie zwolniony ze służby przez Pawła Wojtunika. Jednak gdy PiS doszło do władzy, podpadnięty agent wrócił do CBA. Ostatnio o Arturze Ch. było głośno z powodu tzw. domówki – imprezy, która odbyła się przy okazji kongresu PiS w Katowicach. Bawili się na niej wspólnie politycy partii Jarosława Kaczyńskiego, byli i obecni funkcjonariusze służb specjalnych i rozpracowywani przez nich figuranci.

W biznesie odnalazł się też Jarosław W., agent CBA prowadzący Marka Falentę (tego od afery taśmowej w restauracji „Sowa i Przyjaciele”, która pogrążyła Platformę Obywatelską). Bojąc się więzienia (miał zasądzony prawomocny wyrok) Falenta napisał list do Jarosława Kaczyńskiego, w którym przekonywał, jak bardzo zasłużył się dla wyborczego zwycięstwa PiS.

„Panie Prezesie, jest mi bardzo przykro. Liczyłem, że wielka sprawa, do jakiej się przyczyniłem, zostanie mi zapamiętana i po wygranych wyborach załatwiona niejako z urzędu. Zresztą taka była obietnica Panów z CBA. (…) Razem z polskimi służbami od kilkunastu lat tępiłem liczne przykłady rozkradania majątku państwowego. Mogą to potwierdzić liczni funkcjonariusze polskich służb, m.in. Panowie Jarosław W., szef warszawskiej delegatury CBA, i pełnomocnik szefa CBA Artur Ch. O mojej patriotycznej postawie funkcjonariusze służby zeznawali jako świadkowie w sądzie, który mnie skazał” – pisał Falenta. (Wymieniony przez biznesmena Artur Ch., to ten, który sprowadził do siedziby CBA prostytutkę). Wróćmy jednak do Jarosława W. Po opuszczeniu szeregów CBA w 2022 r. został wiceprezesem spółki Bestgum, należącej do kontrolowanej przez Skarb Państwa Polskiej Grupy Energetycznej. Były agent trafił też

na stołek wiceprezesa Sopockiego Klubu Tenisowego, będącego w sporze z władzami miasta o atrakcyjnie położne grunty naprzeciwko Grand Hotelu. W czerwcu br. Jarosław W. usłyszał zarzuty przekroczenia uprawnień w śledztwie dotyczącym stosowania cyberbroni Pegasus, którą inwigilowany był ówczesny prezydent Sopotu Jacek Karnowski.

W biznesy poszedł też Mariusz Wdowczyk, były agent łódzkiej delegatury CBA za czasów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Wdowczyk odszedł z CBA latem 2015 r. i został prezesem Kaliskiego Przedsiębiorstwa Transportowego. Potem pracował w Enerdze, skąd został oddelegowany do wyburzenia sztandarowej inwestycji PiS, czyli niedoszłego bloku węglowego w Ostrołęce. Następnie zaliczył prezesowskie stołki w ARP e-Vehicles (spółce należącej do Agencji Rozwoju Przemysłu) i w spółce Porty Gdańskie Eksploatacja. Wiosną 2024 r. były agent CBA objawił się jako kandydat Trzeciej Drogi w wyborach samorządowych na wójta gminy Szczytniki. Według doniesień medialnych, Wdowczyk miał poparcie peeselowskiego wicemarszałka Wielkopolski Krzysztofa Grabowskiego, który jest doradcą ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza. Mimo tak wpływowego zaplecza politycznego były agent CBA nie został wójtem.

W kłopoty wpadł Wojciech J., były agent CBA, który miał rozpracowywać tzw. aferę podkarpacką. Jeden z wątków sprawy dotyczył spotkań prostytutek i polityków, samorządowców, biznesmenów oraz duchownych. Wojciech J. twierdził, że w materiałach operacyjnych, które miał w swoim sejfie, był film z marszałkiem Sejmu Markiem Kuchcińskim i niepełnoletnią dziewczyną – „prostytutką narodowości ukraińskiej o imieniu Rusłana”. Zdaniem agenta, kierownictwo CBA ukryło płytę z filmem, a gdy upierał się, by sprawę nagrań umieścić w raporcie, zwolniło go z pracy. W 2021 r. Wojciech J. został zatrzymany i przedstawiono mu zarzut formułowania fałszywych oskarżeń wobec Kuchcińskiego oraz przełożonych w CBA. Sprawa jeszcze się nie zakończyła, a o byłym agencie znów zrobiło się głośno, gdy wyszło na jaw, że jego praca doktorska, obroniona na Akademii Marynarki Wojennej, jest plagiatem.

Uczciwość pisowskiego Bonda

Życie nie oszczędziło najsłynniejszego agenta CBA Tomasza Kaczmarka. Po tym, jak w glorii chwały odszedł ze służby, został posłem PiS. W lutym 2015 r. zrzekł się jednak mandatu – jak twierdził – z powodów rodzinnych. W 2020 r. został zatrzymany. Usłyszał m.in. zarzuty działania w zorganizowanej grupie przestępczej i wyłudzenie od czterech samorządów ponad 71 mln zł dotacji na organizację i funkcjonowanie domów samopomocy oraz przywłaszczenie części dotacji w wysokości powyżej 34 mln zł. Według prokuratury, stowarzyszenie Helper, które były agent prowadził wraz żoną, tylko w części przeznaczało uzyskane dotacje na pomoc najuboższym, a „pod pozorem realizacji zadania publicznego z zakresu pomocy społecznej blisko połowa kwoty udzielonej dotacji wykorzystana została przez członków grupy organizującej proceder na zaspokojenie własnych potrzeb”. Wśród wydatków opłaconych ze środków publicznych znalazły się m.in. luksusowe kosmetyki, markowa odzież, sprzęt gospodarstwa domowego, koszty wynajmu i użytkowania luksusowych samochodów, spłaty zobowiązań wynikających z zakupu, przebudowy i adaptacji prywatnych nieruchomości oraz „znacznie zawyżone i nieznajdujące uzasadnienia” wynagrodzenia kadry kierowniczej Helpera. W międzyczasie „agent Tomek” doznał nawrócenia. Oświadczył, że jego służba w CBA miała charakter polityczny i działał na polecenie przełożonych. Przeprosił swoje ofiary – Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich oraz byłego prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego.

Przeprosić powinien też Tomasz Frątczak, były rzecznik CBA i jeden z najbliższych współpracowników Mariusza Kamińskiego. Po upadku pierwszego rządu PiS Frątczak odszedł ze służby i został rzecznikiem stołecznej dzielnicy Wilanów, a potem trafił do Najwyżej Izby Kontroli. W 2016 r. został skazany za publiczne obnażanie się i onanizowanie w jednym z warszawskich parków. Krzywda mu się nie stała: koledzy z PiS zatrudnili go w Poczcie Polskiej.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 472e4c9417

Do czego służy sędzia?

Zamiast ważyć papier, pozwólmy sądom ważyć sprawiedliwość.

Władza właśnie postanowiła zająć się tym, co od dawna domagało się zdroworozsądkowej korekty. Rozwody – które nie wymagają rozstrzygania niczego, bo małżonkowie są zgodni, dzieci nie ma, podział majątku uzgodniony – będzie można przeprowadzić poza sądem. Zamiast czekać miesiącami na termin rozprawy i angażować wymiar sprawiedliwości w sprawę, która sprowadza się do prostego potwierdzenia decyzji dwojga dorosłych ludzi, procedura miałaby zostać przekazana urzędnikom stanu cywilnego.

Skoro bowiem zawrzeć małżeństwo można przed urzędnikiem, nie przed sędzią, to dlaczego nie można tak samo rozwiązać?

Skryba w todze

Może więc władza pójdzie za ciosem i uwolni sądy także od tych obowiązków, które nie mają nic wspólnego z sądzeniem. Są zaś robotą kancelisty: wpisywaniem do rejestrów, spisów, systemów i ewidencji. Takich, które mogą być prowadzone przez jakąkolwiek instytucję państwową. Dziś mamy bowiem tak, że to co w wielu krajach załatwia urząd, u nas spoczywa na barkach sądów. A to oznacza, że sędziowie, zamiast skupić się na rozstrzyganiu sporów, orzekaniu o winie, prawie i sprawiedliwości, robią coś, co gdzie indziej wykonują urzędnicy zarabiający dwa razy mniej.

W naszym kraju kluczową instytucją rejestracyjną jest Krajowy Rejestr Sądowy. Bo sądy wpisują do systemu spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, spółki akcyjne, spółki jawne, komandytowe, partnerskie, a także stowarzyszenia, fundacje, spółdzielnie i publiczne zakłady opieki zdrowotnej. Ba, do niedawna nawet dłużnicy niewypłacalni mieli swoją rubrykę w sądowym rejestrze. Co więcej, każda zmiana danych – siedziby, składu zarządu, celu działalności – wymaga osobnego wniosku, opłaty, formularza i oczywiście decyzji sądu.

Do sądu kierowany jest też wniosek o rejestrację tytułu prasowego. Zgodnie z ustawą Prawo prasowe, wydawanie dziennika lub czasopisma wymaga rejestracji w sądzie okręgowym właściwym dla siedziby wydawcy. Sąd, miast ważyć dowody i rozstrzygać spory, przegląda statuty fundacji, sprawdza poprawność wniosku o wpis spółki oraz zatwierdza nazwę miesięcznika literackiego.

Zanim jednak sędzia rejestrowy postawi swoją parafkę na formularzu, musi przeczytać, i to dokładnie, cały stos papierów. W wypadku partii politycznej są to dziesiątki stron. Statut, lista podpisów poparcia, dokumenty założycielskie, protokoły zebrań, oświadczenia członków komitetu. W wypadku spółki: umowa spółki, dane wspólników, dowody wniesienia kapitału, pełnomocnictwa, wzory podpisów, czasem i opinie biegłych. Fundacje i stowarzyszenia dorzucają swoje: statut, dane członków zarządu, uchwały, cele statutowe, wnioski o status organizacji pożytku publicznego. Każdy tytuł prasowy? Wniosek, dane wydawcy, informacje o częstotliwości, nakładzie, rodzaju publikacji, zasięgu terytorialnym, nazwisku redaktora naczelnego. To nie są trzy kartki papieru. To segregatory. Każdy segregator to kolejka. Każda kolejka – tygodnie czekania.

To wszystko dzieje się w kraju, gdzie brakuje sędziów, a liczba spraw w toku rośnie z roku na rok. Każdy wpis, każde postanowienie rejestrowe, każdy formularz to czas, którego nie można poświęcić na proces karny, sprawę cywilną czy spór majątkowy. W sytuacji, gdy jedna trzecia obywateli uznaje sądy za powolne i nieefektywne, to naprawdę kosztowna administracyjna fanaberia. Bo jeśli zadania, które w innych państwach realizują

urzędnicy, w Polsce wykonują sędziowie, to nie jest przejaw skrupulatności, ale źle zaprojektowanego systemu.

Odsądzone wyznania

Tymczasem precedens już istnieje. Rejestr kościołów i związków wyznaniowych w Polsce nie jest prowadzony przez sąd, ale przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. To tam, nie do sądu, należy złożyć wniosek o rejestrację nowego Kościoła. Procedura jest jasna: wystarczy lista stu pełnoletnich obywateli, projekt statutu, opis doktryny i wniosek złożony do urzędu. Bez opłaty sądowej, bez formularzy KRS, bez konieczności oczekiwania na rozprawę. System ten działa i nikt nie twierdzi, że kościoły z tego powodu są mniej poważne, a ich status mniej uregulowany.

Warto więc zapytać, skoro można tak ze związkami wyznaniowymi, dlaczego nie z fundacjami? Dlaczego nie ze stowarzyszeniami? Dlaczego nie z tytułami prasowymi, które, *notabene*, w epoce internetu pojawiają się i znikają z częstotliwością prądu w sieci? Czy naprawdę sąd musi być ostatnią instancją także w sprawie rubryki „Wydawca" w kwartalniku regionalnym?

I jeszcze jedno. Nawet jeśli przyjęlibyśmy, że urząd mógłby popełnić błąd, wydać decyzję błędną lub kontrowersyjną, zawsze przecież istnieje możliwość odwołania się do sądu administracyjnego. To właśnie sądy administracyjne pełnią funkcję kontrolną nad działaniami administracji publicznej. Każda odmowa wpisu, każda decyzja urzędowa mogą zostać zaskarżone. Sąd wówczas rozstrzyga, czy urząd miał rację, czy też obywatel został potraktowany niesprawiedliwie. Tym samym rola sądu zostaje zachowana, ale nie jako notariusza formalności, lecz jako gwaranta praworządności. To rozwiązanie łączy sprawność z kontrolą, administrację z wymiarem sprawiedliwości bez zbędnego przeciążania jednego systemu kosztem drugiego.

Można? Można!

Przyjrzyjmy się rozwiązaniom stosowanym za granicą. W Niemczech spółki – w tym GmbH, czyli odpowiednik naszej spółki z o.o. – rejestrowane są w rejestrze handlowym prowadzonym przy sądach, ale wiadomo, że Niemcy zostali w procedurach i technologiach w ogonie cywilizacji. Bo już w Wielkiej Brytanii spółki wpisuje się do rejestru Companies House – instytucji administracyjnej, która działa online, sprawnie, bezpośrednio i bez udziału sądu. Tytuły prasowe? W wielu krajach nie wymagają rejestracji w sądzie, lecz jedynie zgłoszenia w urzędzie, w Wielkiej Brytanii do Electoral Commission w wypadku mediów politycznych, w USA do odpowiedniego departamentu stanowego.

Hiszpania? Tam stowarzyszenia rejestruje się w regionalnych rejestrach, prowadzonych przez władze wspólnot autonomicznych. Fundacje – w rejestrze ministerialnym. Ani jedno, ani drugie nie wymaga decyzji sądu. We Francji stowarzyszenie powstaje z chwilą zgłoszenia do prefektury i opublikowania wpisu w „Journal Officiel". Nie ma rozpraw, nie ma postanowień. Włochy? Partie polityczne nie mają nawet formalnego obowiązku rejestracji jako osobne byty – są traktowane jako stowarzyszenia.

Najbardziej obrazowy jest jednak przykład Stanów Zjednoczonych. Tam działalność partii politycznych reguluje Federalna Komisja Wyborcza. Chcesz działać jako partia? Wypełniasz formularz, zgłaszasz komitet i działasz. Rejestracja fundacji? W większości stanów wystarczy zgłoszenie *non-profit corporation* w biurze Sekretarza Stanu. Żadnych sądów, żadnych wokand. A przecież nikt nie uznaje amerykańskiego systemu prawnego za niepoważny.

I jeszcze Finlandia. Tam stowarzyszenie mogą założyć trzej obywatele wypełniając formularz online. Członkiem może być już piętnastolatek. Nie ma sądu. Jest urząd, który rejestruje, a sądy zajmują się orzekaniem.

Na tym tle Polska wygląda jak system, który nie odróżnia wagi spraw. Wszystko – od nazw fundacji po rejestrację tytułu prasowego – przechodzi przez sąd. Co stałoby się, gdyby rejestry te – spółek, fundacji, stowarzyszeń, tytułów prasowych – prowadziły urzędy? Gdyby wyspecjalizowana instytucja administracyjna zajmowała się wyłącznie tą działalnością, a sądy skupiły się na tym, co jest ich istotą, czyli na rozstrzyganiu sporów, wymierzaniu sprawiedliwości, na obronie prawa? Zyskaliby wszyscy. Sędziowie, którzy mogliby zająć się orzekaniem. Strony procesowe, które nie czekałyby miesiącami na termin. Obywatele, którzy zobaczyliby, że państwo działa szybciej, sprawniej, sensowniej. Jeśli dziś można złożyć zeznanie podatkowe, zamówić paszport i zgłosić działalność gospodarczą online, to nie ma powodu, by sędzia był konieczny do wpisania „Stowarzyszenia Miłośników Bielika Białego" do rejestru.

Stefan Płonicki

eprasa.pl 472e4c9417

Polska wojna o wojnę

W sytuacji realnego zagrożenia Karol Nawrocki usiłuje rozchybotać polską łódkę.

A nie mówiliśmy, nie pisaliśmy? Trzeba było Nawrockiemu podciąć skrzydła od razu po jego zainstalowaniu się w Dużym Pałacu i Belwederze. Nie dopuścić do rozpychania się ponad rozumiane dosłownie konstytucyjne kompetencje. A zwłaszcza zamknąć mu drzwi w polityce zagranicznej (czyt. str. 2). Przecież wiadomo, że to nacjonalista o ostrych antyeuropejskich przekonaniach, tradycjonalista do szpiku kości, przekonany trumpista. Sam chętnie wyruszyłby na wojnę z Ukrainą, przynajmniej polityczną, gdyby nie to, że po drugiej stronie stoi Rosja, której nie znosi w tym samym stopniu.

Łatwo oczywiście mówić, trudniej zrobić. Nawrocki nikogo o nic nie pytał. Do Gabinetu Owalnego wkręcił się jeszcze w trakcie kampanii. Później dzięki koneksjom jego stronników w waszyngtońskich kręgach MAGA (*Make America Great Again* – popierający Donalda Trumpa i sterowany przez niego ruch ultrakonserwatystów i izolacjonistów w sprawach międzynarodowych) udało mu się wypchnąć Donalda Tuska za drzwi narad liderów UE z obecnym przywódcą Ameryki. Sam tego nie wykorzystał, wziął udział w takiej naradzie tylko raz (przez internet), ale Polska do tego dialogu już nie wróciła. Tymczasem to na tym froncie rozgrywają się sprawy, które być może przesądzą o ostatecznym wyniku rosyjskiej wojny w Ukrainie.

Korzystając z ospałości i uległości Władysława Kosiniaka-Kamysza, wicepremiera i ministra obrony, lidera też konserwatywnych (chociaż nie „ultra") ludowców, prezydent RP zyskał poklask dowódców sił zbrojnych oraz żołnierzy i przynajmniej na chwilę przejął rząd ich dusz, faktyczne – a nie tylko formalne – zwierzchnictwo nad armią.

Te gry i zabawy towarzyskie toczą się nadal, także w chwili, gdy Trump już po raz trzeci wyłożył karty na stół. Wyciekł 28-punktowy „jego" plan pokojowy, spisany przez specjalnego wysłannika do kontaktów z Putinem Steve'a Witkoffa, podczas tajnych narad w Moskwie. Nie wiem, czy Witkoff jest dobrym nowojorskim deweloperem (te biznesy łączą go z przyjacielem, który obecnie zasiada w Białym Domu), ale w negocjacjach dyplomatycznych to kompletny żółtodziób. Nawet jeśli – jak donoszą poważne media za oceanem – on, Trump i inni amerykańscy oligarchowie oblizują się już na myśl o intratnych interesach z Rosją, w końcu też wyjdą na nich jak Zabłocki na mydle.

W każdym razie papier, który przyniósł Trumpowi (i który, jak wszystko na to wskazuje) leżał na stole już w Anchorage, podczas spotkania prezydentów Rosji i USA, był skrajnie niekorzystny dla Ukrainy i Europy. Na szczęście, przywódcy Unii zdołali – już po raz trzeci, po pierwszym telefonie Trumpa do Putina i po Alasce – zneutralizować jego destrukcyjne oddziaływanie.

Gdzie jest prezydent?

Kiedy okazało się, że za plecami dotychczasowych sojuszników zza oceanu przywódca Ameryki paktuje z ich wrogiem przygotowując kapitulację Ukrainy, Europa przeżyła kolejny szok. W sytuacji tej można było oczekiwać, że Nawrocki odłoży zabawki służące do rozniecania wojny w wewnętrznej polityce i przynajmniej spróbuje wpłynąć na swojego rzekomego przyjaciela w Waszyngtonie.

Nieustannie chwalił się przecież tą zażyłością, obiecywał, jakie to wielkie korzyści osiągnie z niej Polska. Nic takiego się nie stało. Król okazał się nagi.

Pojawił się natomiast w zupełnie niespodziewanych miejscach. W Pradze na Uniwersytecie Karola wygłosił najbardziej antyunijną mowę, jaka kiedykolwiek popłynęła z ust przedstawiciela Rzeczypospolitej. Podzielił UE na złowrogi Zachód, dybiący na polską suwerenność, i szlachetną środkową część kontynentu. Nauczony razami, jakie spadły na niego po przemówieniu 11 listopada (w którym oskarżał obóz demokratyczny i proeuropejski o gotowość do oddania suwerenności „obcym agendom" UE, ale w ogóle nie wspomniał o rosyjskiej agresji i zagrożeniu z tej strony), w Pradze marginalnie skrytykował Putina, jednak to w stronę Brukseli skierował ostrze swojej napastliwości. Co więcej, przedstawił alternatywną wizję Wspólnoty: cofając ją o dwie dekady, do czasów sprzed traktatu lizbońskiego. Tworzył przy tym wrażenie, że składa te propozycje w imieniu Polski, choć ledwie parę dni wcześniej Radosław Sikorski w Sejmie ostrzegł go, „z upoważnienia prezesa Rady Ministrów", że gdy wypowiada się w duchu antyunijnym, to nie reprezentuje stanowiska Polski, a jedynie swoje i swojej kancelarii; nawet nie swoich wyborców – bo przecież nie kandydował pod hasłem polexitu. Zgodnie z konstytucją, politykę zagraniczną formułuje rząd, zaś prezydent ją tylko reprezentuje.

Nawrocki nie ogranicza się tylko do słów, dokonuje też czynów. Ostatnio odmówił promocji na pierwszy stopień oficerski dużej grupy przeszkolonych już funkcjonariuszy wywiadu i kontrwywiadu, a także uhonorowania odznaczeniami państwowymi podobnej liczby agentów (także dyplomatów). Skoro ich szefowie przedstawili te osoby do awansów i orderów, to pewnie na to zasłużyli. Mnie zawsze trochę śmieszył ten pęd do bycia odznaczonym, ale dla ludzi wojsk i służb naprawdę ma to znaczenie. Kancelaria Prezydenta sugeruje, że wśród kandydatów do wypięcia piersi były osoby, które przyczyniły się do ujawnienia w kampanii kompromitujących faktów z życiorysu ówczesnego pretendenta. Trudno powiedzieć, ale nawet jeśli, to po pierwsze na pewno nie tylu, a po drugie, przecież tych faktów nie zmyślili i nie sfingowali. Tak naprawdę chodzi o kontrolę nad służbami specjalnymi. Nawrocki próbuje rozszerzyć swoje władztwo także na tę sferę, choć prawnie jest jasne, że zwierzchnictwo nad nią sprawuje premier.

Tusk i Sikorski nogi nie odstawiają

Pora nie jest dobra na takie igraszki. W obliczu kładącego się nad Starym Kontynentem cienia potencjalnego porozumienia (*dealu* – można by uznać) Trump – Putin lepiej by było siedzieć przy stole rokowań niż poza nim. W efekcie tych polskich kłótni trochę znaleźliśmy się w tej drugiej sytuacji. O ile w lutym-marcu, kiedy Unia zaczęła się adaptować do nowych okoliczności po objęciu władzy przez 47. prezydenta USA, na brukselskich salonach brylował Tusk, i tak było do wakacji, to teraz pierwsze skrzypce grają Emmanuel Macron, Keir Starmer i Friedrich Merz. Oczywiście, możemy mieć zaufanie do nich, i do szefowej Komisji Ursuli von der Leyen, i wysokiej przedstawicielki UE do spraw zagranicznych i bezpieczeństwa Kai Kallas (Estonki), i komisarza do spraw obrony Andriusa Kubiliusa (Litwina). Z wyjątkiem Viktora Orbána i po części słowackiego premiera Roberta Ficy, wszyscy we Wspólnocie mają ten sam interes.

Polski premier stara się trzymać rękę na pulsie; poleciał np. aż do Luandy na szczyt UE – Afryka, by wziąć udział w nieformalnych konsultacjach na temat planu Witkoffa. Nawet pod jego nieobecność europejscy przywódcy konsultują się z nim telefonicznie. Trudno jednak oczekiwać, że załatwią całą sprawę za nas. Tusk też nie pomaga swoimi eurosceptycznymi filipikami, jak ostatnio przy okazji wyroku Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu, dotyczącego obowiązku transkrypcji małżeństw homoseksualnych w wypadku ich przeprowadzki do Rzeczypospolitej (czyt. str. 7). Albo, gdy próbował dawać prztyczki w nos kanclerzowi Merzowi po wspólnym posiedzeniu rządów polskiego i niemieckiego.

Ale w polityce krajowej sprytnie przypiera Nawrockiego do ściany. Na posiedzeniu plenarnym Sejmu objechał prezydenta prawie równie ostro, jak zrobił to Sikorski we wspomnianym już przemówieniu na tym samym forum. Mają okazję wystawić go teraz za drzwi polityki zagranicznej. Utyskiwania na jego bierność w ratowanie pokoju na uczciwych warunkach (brak telefonu lub wypadu do Waszyngtonu) są wypowiadane bez przekonania i tylko *pro forma*. W chwili próby Nawrocki zawiódł i nikomu po stronie rządowej nie spieszy się, by go z powrotem zapraszać do poważnej gry.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 472e4c9417

Problem mieszkaniowy

Liczba, która mnie zaskoczyła: co czwarty Rosjanin nie planuje zakupu własnego mieszkania i zamierza mieszkać w wynajmowanym. A przecież posiadanie własnego lokum to klucz do stabilizacji.

Jest coś niewolniczego w zależności najemcy od właściciela mieszkania. W spisie kontaktów w telefonie pojawia się poniżające słowo – „właściciel". Jestem pewien, że niektórzy będą się ze mną spierać. Chętnie przyjmuję argumenty drugiej strony, ale zaznaczam, że odsetek Polaków mieszkających w wynajmowanych mieszkaniach jest jednym z najniższych w Europie – wynosi 12,8 proc. Co osobiście mi się podoba.

Zaluzje

W Niemczech tylko połowa populacji posiada nieruchomość; reszta wynajmuje. W Austrii nieco ponad połowa obywateli ma mieszkania lub domy. 60 proc. obywateli Szwajcarii to najemcy, a w Genewie – 82 proc.

Europejczycy uważają, że posiadanie domu ogranicza ich swobodę przemieszczania się. Nie chcą być przywiązani do jednego miejsca. Mobilność, jak twierdzą, jest zaletą. Również na rynku pracy. Większość Europejczyków jest przekonana, że wynajem jest również korzystny finansowo. Średnia osób wynajmujących mieszkania wynosi dla Europy 30 proc. Czy Rosja dogania Europę pod tym względem? Tak. Ale nie dlatego, że życie jest dobre. Nie ze względu na radosną możliwość podróżowania po świecie i cieszenia się wolnością, ale z powodu rozpaczliwej niemożności zakupu nieruchomości. W ciągu ostatnich trzech lat ceny mieszkań w Rosji podwoiły się!

Wielu Rosjan jest zmuszonych zrezygnować z zakupu nowego mieszkania z powodu uciążliwych warunków finansowania. Dotyczy to zarówno mieszkań, jak i domów jednorodzinnych. Idziesz ulicą nowych budynków i widzisz, że za oknami wieżowców nie ma życia. Nikt się do nich nie wprowadza, od lat (!). Jak mawia mój znajomy pośrednik w obrocie nieruchomościami, jedynym elementem, który zmienia się na rynku nieruchomości, jest cena.

W ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy tego roku popyt na kredyty hipoteczne spadł pięciokrotnie. Udział niesprzedanych mieszkań w nowych budynkach wzrósł o 35 proc. Nawet w „elastycznej" Moskwie popyt na mieszkania w nowych nieruchomościach spadł o 15 proc. Deweloperzy ograniczają prace – nie potrzebują pustych betonowych boksów.

Tymczasem, według różnych szacunków, w Rosji jest od półtora do trzech milionów budynków, które nie nadają się do zamieszkania. Uważa się je za niebezpieczne. Nie da się ich wyremontować. Należy je zburzyć. Z powodu braku funduszy w lokalnych budżetach, zniszczone domy są pospiesznie klasyfikowane jako „o ograniczonej przydatności do zamieszkania". To kolejny powód, dla którego ludzie nie mieszkają „pod adresem zameldowania", lecz są zmuszeni wynajmować przyzwoite, bezpieczne lokum. Europejczykowi nigdy by się to nawet nie przyśniło.

Długi w spadku

Odkąd pamiętam, w Związku Radzieckim, a później w Rosji, zdobycie „własnego kąta" było praktycznie głównym celem życia człowieka. I poczuciem „jakiejś tam niezależności" względem arbitralnie sprawowanej władzy oraz ochroną przed kaprysami losu. W ZSRR nieruchomości były własnością państwową. Ludzie czekali na mieszkanie dekadami. To w dużej mierze ukształtowało psychologię społeczeństwa: im bardziej kłaniałeś się przełożonym, tym większa była szansa na poprawę warunków życia.

W Związku Radzieckim mieszkań nie sprzedawano, lecz je rozdawano (przydzielano). Były częścią systemu dystrybucji, w którym państwo decydowało, kto i kiedy je dostanie. Na papierze wszystko wydawało się proste: osoba zapisywała się na listę oczekujących, a po pewnym czasie otrzymywała mieszkanie. W rzeczywistości była to potężna machina biurokratyczna, w której okres oczekiwania mógł wynosić od dwóch do dwudziestu lat. I zależał nie od przypadku, ale od statusu, zawodu, przedsiębiorczości, a nawet „użyteczności" jednostki dla państwa. Istniały trzy główne poziomy „jednolitej kolejki mieszkaniowej". Los człowieka zależał od jego statusu. Miejska lista oczekujących była najliczniejsza i najdłuższa. Znajdowali się na niej nauczyciele, lekarze, robotnicy, młode rodziny i imigranci. 10-15-letni okres oczekiwania był uważany za normę, a w dużych miastach nawet 20 lat nie wydawało się wiecznością. Przedsiębiorstwa, fabryki, instytuty badawcze i ministerstwa miały resortowe listy oczekujących. Jeśli organizacja była bogata lub strategicznie ważna, mieszkania budowano szybciej. W przemyśle zbrojeniowym mieszkanie można było uzyskać „zaledwie" w 3-5 lat. Preferencyjna lista oczekujących nagradzała wojskowych, funkcjonariuszy partyjnych, Bohaterów Pracy Socjalistycznej i rodziny wielodzietne. Tutaj czas oczekiwania był najkrótszy – od roku do kilku lat.

Lista oczekujących na mieszkanie była skutecznym narzędziem polityki kadrowej państwa totalitarnego. Przynależność do KPZR automatycznie zwiększała szanse. Komitety partyjne w przedsiębiorstwach wywierały potężny wpływ na podział mieszkań. Lista oczekujących na mieszkanie w ZSRR nie była listą oczekujących, lecz hierarchią społeczną. Nie traktowano tego jak korupcji. Uważano za „zachętę". W tym systemie najważniejsza idea pozostała niezmienna: mieszkanie było nagrodą, a nie towarem.

Po upadku Związku Radzieckiego mieszkanie pozostało „sensem życia" dla większości Rosjan, ale stało się też towarem. Ludzie pożyczają pieniądze od państwa, kupują mieszkanie, a następnie spędzają resztę życia na spłacaniu długu. Często jedno życie to za mało – ich dzieci odpracowują dług rodziców. Według badań socjologów, 31 proc. respondentów mieszka w lokum odziedziczonym lub otrzymanym w prezencie od krewnych.

Skąd ta wycieczka w niedawną przeszłość? Wygląda na to, że Rosja powraca do czasów radzieckich również w kwestii mieszkaniowej. Rząd zatwierdził świadczenia dla uczestników „specjalnej operacji wojskowej" (SWO), ich rodzin oraz pracowników przemysłu zbrojeniowego. Najważniejszym z nich jest preferencyjny kredyt hipoteczny z oprocentowaniem 2 proc. rocznie. Dla porównania, rzeczywiste średnie oprocentowanie kredytów hipotecznych na rynku pierwotnym dla przeciętnych obywateli Rosji wynosi 25,6 proc. To polityczny i społeczny sygnał od władzy: idźcie walczyć (zabijać), a wasze rodziny będą bezpieczne.

Coraz częściej zdarzają się przypadki, że mieszkania „dysydentów", którzy wyemigrowali za granicę, są zajmowane na mocy nakazu sądowego przez rodziny weteranów SWO, którzy zginęli na wojnie.

Według oficjalnych danych, w ubiegłym roku w Rosji odnotowano 5 500 przestępstw związanych z podziałem nieruchomości między krewnych. To wzrost o 20 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Oszustwa na rynku nieruchomości nie są w Rosji niczym zaskakującym, ale mamy nowe zjawisko. Pojawiło się ono jesienią ubiegłego roku i zyskało w kręgach prawniczych miano „babci terrorystki". Brzmi to zabawnie, ale ci, którzy wpadają w sidła takiej „babci", nie mają nastroju do żartów. To nowa kategoria ryzyka związana z zakupem mieszkań od osób starszych i samotnych. Sztuczka jest prosta: byli właściciele, wykorzystując luki prawne, domagają się zwrotu swoich mieszkań po sprzedaży, twierdząc, że podpisali dokumenty pod przymusem. Albo że byli pod wpływem stresu, unieruchomieni, zahipnotyzowani przez oszustów...

Woland, „Książę Ciemności" z powieści Michaiła Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata", mówi, że „zwykli ludzie zostali zepsuci przez problem mieszkaniowy". Powiem więcej. Problem mieszkaniowy w Rosji ukształtował zły charakter znacznej części społeczeństwa i zdeformował wartości moralne całych pokoleń. Klasyk ma rację: najpewniejszą nieruchomością są zamki z piasku.

Anton Arbatow, Moskwa
przekład Marta Hofman

eprasa.pl 472e4c9417

Antyfaszyści to terroryści, faszyści to patrioci

Dla Polaków słowo-epitet „faszysta" ma jednoznacznie negatywne konotacje. Z Amerykanami sprawa jest bardziej skomplikowana: faszyzmu nie zakosztowali na narodowej skórze.

Motywem przewodnim krytyki sięgającego po drugą kadencję Trumpa, było wskazywanie zagrożenia dla demokracji i wizja animacji faszyzmu. Motyw poległ, Trump wygrał, bo demokracja i faszyzm są dla jego rodaków pojęciami abstrakcyjnymi. Za to ceny boczku i jaj (podrożały z winy Bidena!) boleśnie odczuwalnymi realiami.

Obecnie niegdysiejsi propagatorzy straszenia Trumpem przez roztaczanie wizji zgonu demokracji i narodzin US-faszyzmu mogliby zachować się jak dziadek powtarzający w kółko: a nie mówiłem?! Nie robią tego, bo zmądrzeli i wiedzą, że nikt (prawie) ich nie słucha. Lecz fakty – namacalne i bolesne – drążą amerykańską dezynwolturę światopoglądową.

Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy istotnie faszyzm zalągł się na dobre w rzeczywistości politycznej Stanów Zjednoczonych, zapytam: jak określić postępowanie lidera kraju, który nakazuje urzędowe zakwalifikowanie nieistniejącego instytucjonalnie ruchu Antifa jako organizację terrorystyczną? Za której członków uznaje się ludzi niewyrażających aplauzu dla kryminalnego prezydenta.

Kilka miesięcy temu Trump, realizując plan przygotowany dlań przez ultrakonserwatywne mózgi (głównie ze środowiska Heritage Foundation), nakazał Departamentowi Stanu umieszczenie na liście rodzimych organizacji terrorystycznych ruchu Antifa. Poza wrogością wobec ożywionych i ośmielonych prezydenturą Trumpa neofaszystów amerykańskich oraz gotowością do użycia przemocy (bójki z faszystowskimi demonstrantami) przedstawicieli Antify spaja bardzo niewiele. To nie konkretny ruch, lecz prąd ideowy, reakcja na zmartwychwstanie faszyzmu. Trumpowi chodziło o to, by stworzyć przekonujący wizerunek wroga, czyli swych przeciwników politycznych, np. ludzi uczestniczących w masowych demonstracjach pod hasłem „Żadnych królów". Przeciętnym Amerykanom sprzeciwiającym się autokratycznemu kursowi Trumpa, biorącym udział w pokojowych akcjach protestacyjnych trudno przykleić nalepkę terrorystów. Nalepkę reprezentantów złowieszczej, terrorystycznej Antify – o wiele łatwiej.

W połowie listopada Departament Stanu, wyolbrzymiając wykreowane zagrożenie, uczynił z Antify międzynarodowy front terrorystyczny. Twór na kształt Al-Kaidy i ISIS. Na listę ugrupowań terrorystycznych wciągnięta została w USA niemiecka wersja Antify – Antifa Ost. Towarzyszy jej odmiana włoska (Międzynarodowy Front Rewolucyjny) oraz dwie antyfaszystowskie grupy greckie. „Spiskują, by podkopać fundamenty cywilizacji zachodniej" – pompuje grozę Departament Stanu. Wszystko jest kompletnie dęte, ale ukazuje genezę pomysłu i pomysłodawcę, z którego dorobku Trump łakomie czerpie. W 2023 r. młodzi ludzie pod szyldem Antifa Ost stawili się w Budapeszcie i zaatakowali – młotkami – pochód neofaszystów z ugrupowania „Krew i Honor", świętujących faszystowski „Dzień Honoru", celebrację Trzeciej Rzeszy. Wówczas Orbán, systematycznie zapładniający Trumpa dyktatorskimi pomysłami, uznał ulicznych zadymiarzy antyfaszystowskich za organizacją terrorystyczną.

Ściema propagandowa

Eksperci w dziedzinie ruchów ekstremistycznych nie mają wątpliwości, co się dzieje. „Cała ta historia jest po prostu śmieszna – mówi Heidi Beirich, założycielka ugrupowania Globalne Przedsięwzięcie Przeciwko Nienawiści i Ekstremizmowi. – Grupy napiętnowane przez departament ledwie co istnieją i z pewnością nie mają charakteru terrorystycznego. Absolutnie nie stanowią żadnego zagrożenia dla Ameryki. Lecz nie chodzi o zwalczanie terroryzmu. Celem jest zastraszenie lewicy i odwrócenie uwagi od autentycznego prawicowego terroryzmu, który w ostatnich latach był odpowiedzialny za większość ataków".

Inny ekspert w dziedzinie terroryzmu Tom Lord, współzałożyciel organizacji Militant Wire, wyznaje, że jest „bardzo zaskoczony" postępowaniem Departamentu Stanu: „Dopiero co rozmawiałem z jego pracownikami na temat tych organizacji, wskazywałem, że one praktycznie nie istnieją. 24 godziny później zostały umieszczone na liście". Kryteria, którymi departament powinien się kierować, zawierają „zagrożenie bezpieczeństwa narodowego USA". W przypadku Antify to kompletna fikcja. Beirich i Lord podkreślają, że nie wiedzą nic o tym, by europejskie ruchy antyfaszystowskie miały jakieś powiązania z antyfaszystami w USA. Thomas Brzozowski, ekspert od rodzimego terroryzmu amerykańskiego, wskazuje, że Departament Stanu „nie przedstawił żadnych ataków na Amerykanów ani zagrożeń dla USA ze strony Antifa Ost". Natomiast neofaszystowska partia AfD w Niemczech przywitała decyzję Trumpa radosnym peanem.

Ekstremistyczne – jak najbardziej realne i aktywne ugrupowanie prawicowe w USA – The Base eksportuje swą działalność oraz komórki założycielskie do wielu krajów Europy i poza nią. W narracji protrumpowskiej prawicy jest zarzut, że „organizacje terrorystyczne", np. Antifa, są finansowane przez wpływowe i zamożne lewicowe podziemie (Sorosa?). Tymczasem ruchy te ledwo przędną z braku forsy. „Każdy, kto jest przeciwko Trumpowi, jest kwalifikowany jako Antifa" – stwierdza weteran, który przez większość zawodowego życia anonimowo infiltrował ekstremistyczne organizacje w USA. Konstatuje, że wprowadzenie się Trumpa do Białego Domu „otworzyło dla nich świetlaną przyszłość".

Inne państwa – Kanada, Niemcy, Hiszpania i W. Brytania – sporządzają listy organizacji neofaszystowskich, takich jak „Krew i Honor", którego członkowie w 1998 r. na Florydzie zabili bezdomnego, uznając go za podczłowieka. W USA neofaszyści są bezpieczni, wręcz faworyzowani jako sojusznicy Trumpa. „W USA nie ściga się neonazistowskich grup, o wiele groźniejszych i większych, popełniających akty przemocy. Selektywnie koncentruje się na działaczach antyfaszystowskich" – stwierdza ekspert Tom Joscelyn z Just Security. Rząd niemiecki konstatuje, że zagrożenie ze strony Antifa Ost bardzo się skurczyło dzięki akcjom prokuratury. Agencja Reuters informuje, że Departament Stanu USA przed podjęciem decyzji o umieszczeniu Antifa Ost na liście nie konsultował się w ogóle z władzami Niemiec.

Smykałka do neonazizmu

Prawdziwe przekonania Trumpa przejawiają się nie tylko w demonizowaniu rodzimych i zagranicznych grup antyfaszystowskich. W 2017 r. Trump skwitował rozruchy neofaszystów w Charlottesville, którzy zabili kobietę kontrmanifestantkę: „Bardzo dobrzy ludzie są po obu stronach". W 2022 r. zaprosił do Mar-a-Lago na obiad znanego neofaszystę Nicholasa Fuentesa. Zohran Mamdani, wybrany niedawno burmistrz Nowego Jorku, otwarcie nazwał Trumpa faszystą i powtórzył to stojąc tuż obok niego w Oval Office. Prawicowe portale społecznościowe pełne są antysemickich komentarzy, kwestionujących Holokaust i genezę II wojny światowej. Niedawno znany prawicowy propagandzista Tucker Carlson przeprowadził dwugodzinny wywiad z Fuentesem, nie polemizując z jego skrajnymi poglądami. Szef Heritage Foundation Kevin Roberts zaangażował się w obronę Carlsona, a po lawinie krytyki odmówił wycofania swych słów.

Miesiąc temu upubliczniono czaty młodych (choć większość jest grubo po trzydziestce) działaczy republikańskich na portalu Telegram; niektórzy są zatrudnieni na wysokich stanowiskach w Kongresie. Ich słowa gloryfikują Hitlera, obozy koncentracyjne i dyskredytują Holokaust. Niektórzy wyrazili skruchę; wątpliwe, czy autentyczną. W maju Trump wystawił jako kandydata na eksponowane stanowisko szefa Specjalnego Biura Prawnego Białego Domu (Office of Special Council) Paula Ingrassię. Kandydat musiał zrezygnować, gdy w październiku portal Politico opublikował jego wyznanie: „Mam smykałkę nazistowską".

Z prawicowym neofaszyzmem logicznie łączy się antysemityzm. Republikanie i Trump oskarżają o antysemityzm demokratów, deportują i eksmitują z uczelni jako antysemitów studentów protestujących przeciw zbrodniom Izraela w Strefie Gazy. Ale to republikanie są częściej eksponentami autentycznego antysemityzmu. Przyznaje to prawicowy senator Ted Cruz: „W naszej partii nasilają się prądy antysemickie". David Brog, aktywista republikański i założyciel ugrupowania Chrześcijanie Zjednoczeni po Stronie Izraela, wyznaje: „Prawicowy antysemityzm to poważny problem".

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 472e4c9417

Lewoskrętnie:
1) ręczny warsztat tkacki, 3) zdarte od krzyku, 5) aromat wina, 7) potrzebna przy nauce języków, 9) dmuchana łódź gumowa, 11) u boku ułana, 13) beksa, 15) najwyższy głos w chórze, 17) brunatny płyn antyseptyczny, 19) lek odmierzany na cukier lub wodę, 21) wiejska persona, 23) włóknista masa z karmelu i roztartych nasion oleistych, 25) wydarzenie małej wagi, 27) pudełko z tektury, 29) wgłębienie w rufowej części jachtu z ławkami dla załogi, 31) wykrzywia twarz, 33) wyróżnienie sylaby w wyrazie, 35) końska, lwia lub fali, 37) słynna maszyna szyfrująca w czasie II wojny światowej, 39) z gęsi się bierze, 41) wizjer w drzwiach, 43) więzienne łóżko, 45) ciasto z twarogu, 47) teleskop soczewkowy, 49) afisz, 51) wybryk, 53) puszczany na wodę w noc świętojańską, 55) reklamówka kurortu, 57) bezbożność, 59) surowiec na marcepan.

Prawoskrętnie:
2) śnieżyca, zawieja, 4) wywar z mięsa i włoszczyzny, 6) pokarm losu, 8) pasterz z westernu, 10) japoński namiestnik, 12) malunek dla babci, 14) odzywają się po uderzeniu w stół, 16) pokazuje kierunek północny, 18) szewska nić, 20) konstrukcja zamykająca od góry kadłub statku, 22) pikantny korzeń do tarcia, 24) chętka, 26) na spodniach generała, 28) pewnik, 30) moc, 32) podatek na alkohol lub dobra luksusowe, 34) zbijane toczącą się kulą, 36) obcy natręt, 38) akcesorium chłopaka do pary, 40) okienko w oknie, 42) szczypta jadu pod słowami, 44) usterka, 46) potrawa z drobnej semoliny, 48) garb turysty, 50) wprowadza zdjęcia do komputera, 52) ozdobna przepaska na głowę, 54) wpadka lokalu konspiracyjnego, 56) izolowane pomieszczenie do nagrań, 58) napęd kajaka, 60) pożyczka bankowa.

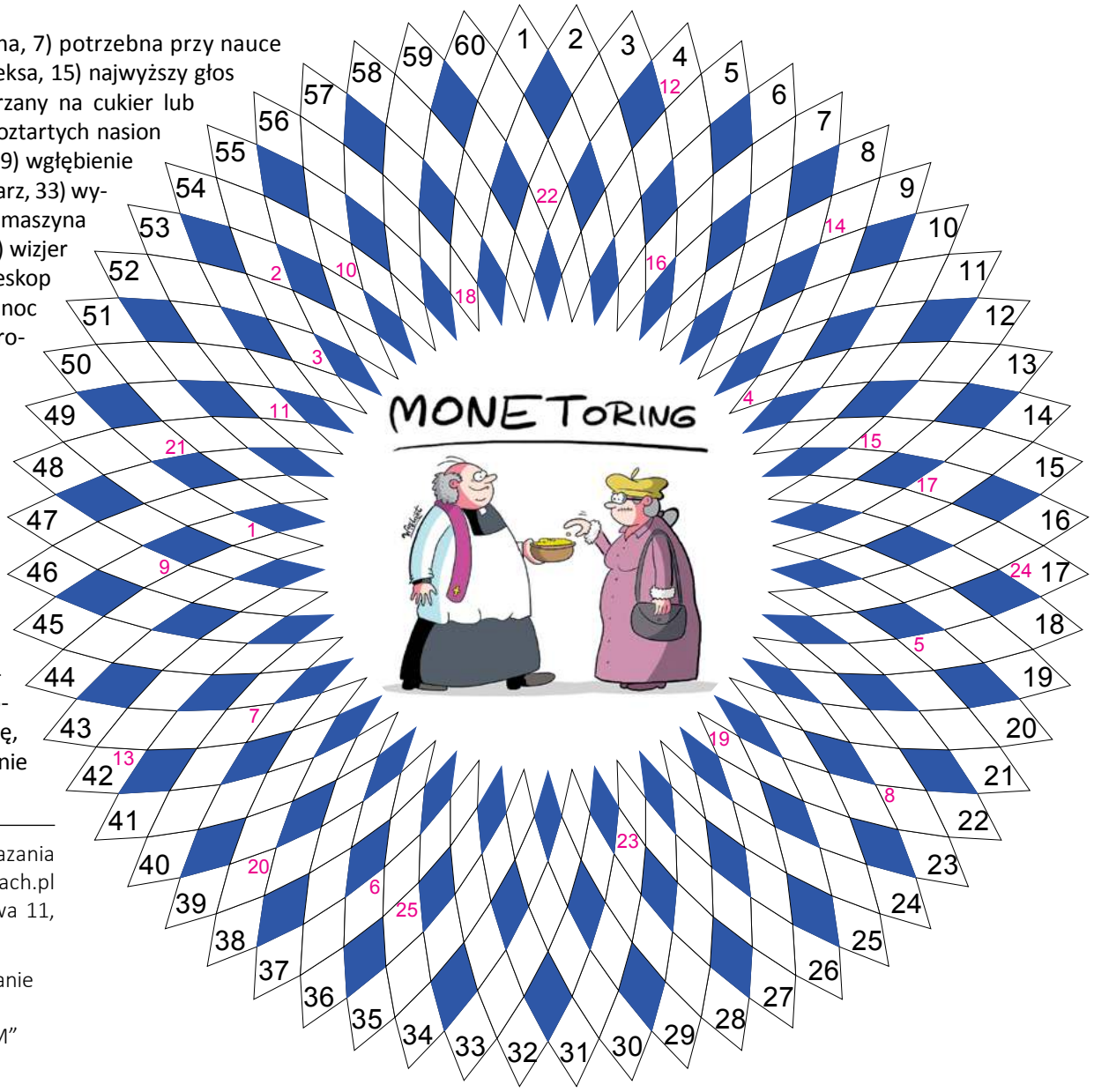

Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 47/2025:
„NEKROLOGI SOBIE CZYTAM”.
Nagrody otrzymują: Zofia Sówka z Wojnicza, Marek Szczepański z Gdyni, Juliusz Wojtasik z Częstochowy.

Rozmowa w gabinecie:
– Pani doktor, te leki nasenne są świetne, jestem wypoczęty, spokojny i rozluźniony.
– To dobrze, ale proszę pamiętać, że może pan brać tylko jedną tabletkę dziennie!

– | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 , | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | 24 | 25 …

Antyreligijny humanizm

Ethel Lilian Voynich

Jeśli wśród Czytelników „FpM” jest jeszcze ktoś, kto nie wyrzekł się wiary, ktoś, kto uważa, że Kościoła katolickiego nie należy zniszczyć, lecz go ratować, pomoże mu sięgnięcie po powieści Ethel Lilian Voynich.

Jeśli ktoś ma wątpliwości co do rangi „Szerszenia” (1897) – najpopularniejszej z nich, a niewznawianej w Polsce od 38 lat – niech zważy na to, że na jej podstawie powstało pięć filmów (w tym jeden z wielką kreacją Siergieja Bondarczuka), cztery opery, musical i dwa balety. Jeśli ktoś docieka, który pisarz pierwszy poruszył problem pedofilii i przemocy wobec dzieci ze strony księży, niech przeczyta przejmującego „Jacka Raymonda” (1901) i upewni się, czy na pewno nie uronił ani jednej łzy, czy na pewno nie zacisnął pięści z gniewu, z nienawiści, z niezgody na zło biorące się „z człowieka (zawsze z człowieka) i tylko z człowieka”, a wywodzące się z wymyślonej przez człowieka religii. To człowiek stworzył Boga, a nie Bóg stworzył człowieka.

Przeczytałem tysiące książek (kilka napisałem). Jeszcze niedawno nie znałem dzieł Voynich, a dziś mogę napisać wprost, że to najważniejsze książki w moim życiu. Już samo barwne życie pisarki warte jest biograficznego filmu, w tym przez wzgląd na bycie córką wielkiego matematyka George’a Boole’a (pojęcie algebry Boole’a znają wszyscy matematycy i informatycy), romans z Sidneyem Reillym czy małżeństwo z Michałem Wojniczem, wybitnym polskim rewolucjonistą, bojownikiem Wielkiego Proletariatu, uciekinierem z syberyjskiej katorgi, odkrywcą manuskryptu Wojnicza, nad którym głowią się do dziś setki uczonych. Nie ma wątpliwości, że rewolucyjne i polskie wątki obecne w prozie Ethel Lilian pojawiły się pod wpływem opowieści męża, bohatera walki z caratem.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego powieści Voynich doczekały się tylu adaptacji i dlaczego stanowią tabu w takich państwach jak Polska, pogrążonych w dewocji, ulegających wpływom irracjonalnego, a bogobojnego ciemnogrodu, jest prosta. Twórczość żony proletariatczyka jest przesycona jasną szczerą wrogością wobec religii i kleru, które postrzega jako źródła największego zła w dziejach jednostki, społeczeństwa i ludzkości.

Kardynał z „Szerszenia” czy wikary z „Jacka…” są w jej powieściach odmalowani jako istoty podłe, bo są duchownymi i oddali życie religii. To jest praprzyczyna zła. Nikt tak jak Voynich nie potrafi w mistrzowski sposób zarysować miernoty i martwoty pogrążonych w umysłowej ciasnocie anglosaskich bigotów niczym z wielkiego filmu „Kto sieje wiatr”. Nikt tak jak ona nie stawia jasno sprawy, wprost krzycząc, że nie każdy Włoch i nie każdy Polak to katolik.

Ethel Lilian Voynich i prześladowani przez kler bohaterowie jej powieści są dla mnie wzorem postępowania i przepięknym punktem odniesienia w walce z religią. Książki zmarłej przed 65 laty pisarki odmieniły moje życie.

Maciej Kijowski

eprasa.pl 472e4c9417

Na mikołajki, na choinkę i pod choinkę, do chrupania, gdy za oknem szaro, mokro i zimno.

Ciasteczkowy dzień 2025

Każdego roku na początku grudnia rozpoczynam pieczenie ciasteczek. Musi ich być dużo i o różnych smakach, żeby każdy znalazł dla siebie takie, które lubi najbardziej, bo to czas intensywnych spotkań przedświątecznych, okołoświątecznych i poświątecznych. Ciasteczka mają tę zaletę, że spokojnie mogą leżeć w puszkach lub słoikach nawet miesiąc.

Tym razem z przyjaciółmi rozpoczęliśmy ciasteczkowy dzień, wykorzystując długi listopadowy weekend. Łódzki Club Rotary organizował koncert charytatywny połączony ze zbieraniem funduszy na wyjazdy dzieci ze szkoły muzycznej na międzynarodowe konkursy, a w przerwie miał się odbyć poczęstunek dla darczyńców, więc ciasteczek musiało być dużo. Wykorzystałam do tego trzy sprawdzone przepisy, które należą do najprostszych, najszybszych i stosunkowo tanich.

Klasyka, czyli kruche

Lubię kruche ciasto. Można je zagnieść dużo wcześniej, podzielić na porcje, zamrozić i wyciągać z lodówki, gdy zajdzie taka potrzeba, nadaje się jako spód do słodkich tart, sernika, makowca czy jabłecznika. Możecie z niego zrobić też ciasteczka. Zagniećcie szybko 30 dag mąki, 20 dag masła, 10 dag cukru, 2 żółtka oraz szczyptę soli i schowajcie do lodówki na pół godziny. Teraz wystarczy je już tylko rozwałkować i wykrawać to, co chcecie. Nie macie czasu na bawienie się w wycinanie foremkami, przełóżcie ciasto na blachę, pokrójcie radełkiem na proste paski i tylko je rozsuńcie. Pieczcie w temp. 190°C. Przypomnę, że najlepiej na jednej blasze piec ciasteczka tej samej wielkości, wtedy pieką się równo.

Możecie je uatrakcyjnić, wgniatając do ciasta np.: drobniutko pokrojoną czekoladę, startą skórkę z cytryny (na tę porcję potrzebne są dwie cytryny) lub pomarańczy, drobno posiekane migdały lub orzechy. Przed pieczeniem ciasteczka możecie też posmarować roztrzepanym jajkiem i posypać cukrem lub orzechami, a po upieczeniu polukrować lub polać rozpuszczoną czekoladą.

Sauté też są pyszne, zauważyłam, że u mnie znikają zawsze pierwsze.

Owsiane

Zagniećcie 250 g miękkiego masła z 1 szkl. brązowego cukru, 1 jajkiem, 1 szkl. mąki pszennej, ½ łyżeczki sody oczyszczonej, szczyptą soli i 2,5 szkl. płatków owsianych. Uformujcie z ciasta kulki wielkości orzecha laskowego, a po ułożeniu ich na blasze, rozgniećcie na płasko. Najłatwiej zrobić to ręką umoczoną w zimnej wodzie. Upieczcie na złoto.

Chcecie, by były bogatsze? Dodajcie posiekane orzechy, ziarno słonecznika, pestki dyni, siemię lniane. A po upieczeniu możecie polać dowolnym lukrem.

Kokosowe

Powstały jako eksperyment. Mam prosty i szybki przepis na biszkopciki. Zmiksujcie 3 jajka z 1 szkl. cukru, a potem dodajcie do miksowanej masy 1 szkl. mąki. Otrzymacie ciasto trochę bardziej gęste niż na naleśniki. Rozkładajcie je łyżką na papierze w sporej odległości i pieczcie ok. 8-9 minut. Sprawdzają się, gdy dzwoni telefon, że goście już w drodze, a Wy nic nie macie.

Czasami dodaję do ciasta różne dodatki: kakao, orzechy, kawałki czekolady. Któregoś dnia postanowiłam użyć pół na pół mąki pszennej z kokosową. Wsypałam pół szklanki kokosowej do ubitych jajek, gdy zadzwonił telefon. Na szczęście! Okazało się, że przez kilka minut mojej rozmowy mąka kokosowa wchłonęła wilgoć i ciasto zmieniło konsystencję, stając się tak gęste, że nie było w nim już miejsca na mąkę pszenną. I tak powstały kokosanki. Porcjuje się je łatwo, wystarczy odrywać kawałeczki ciasta i układać na papierze. Możecie piec je tylko na złoto, wtedy zarumienią się brzegi ciasta, ale wnętrze pozostanie wilgotne i miękkie lub wypiec bardziej, by były twarde i chrupiące.

Miękkie *sauté* są dobre, ale polane roztopioną czekoladą stają się majstersztykiem.

*

W okresie przedświątecznym najchętniej piekę pierniki, ze względu na ich ciepły korzenny aromat. Otula dom jak najlepsze perfumy.

Pierniczki

Ten przepis odkryłam w ubiegłym roku. Sprawdził się w kilku domach! Jeśli lubicie pierniczki chrupiące, rozwałkujcie ciasto cieniutko i po upieczeniu trzymajcie schowane w puszce. Jeśli jesteście zwolennikami miękkich, wałkujcie grubiej i nie zamykajcie szczelnie pojemnika, wówczas wchłoną wilgoć z otoczenia i zmiękną.

Wszystkie składniki powinny być w temperaturze pokojowej.

Połączcie 330-400 g mąki pszennej (lub żytniej i pszennej – pół na pół, jej ilość zależy od wilgoci miodu), ½ łyżeczki soli i 2 łyżeczki sody oczyszczonej. Rozpuśćcie 180 g masła, dodajcie do niego 60 ml miodu (najlepszy byłby gryczany lub spadziowy, ale jeśli nie macie, użyjcie każdego innego), 250 g cukru trzcinowego lub zwykłego, 2 łyżki kakao oraz przyprawy (płaską łyżeczkę mielonego imbiru, po ½ łyżeczki cynamonu, mielonych goździków, ziela angielskiego, pieprzu, po ¼ łyżeczki mielonego kardamonu i gałki muszkatołowej). Wymieszajcie i zagotujcie, przestudźcie, dodajcie jajko i żółtko, przelejcie do mąki i wyróbcie na gładkie ciasto. Zawińcie w folię i wstawcie do lodówki na godzinę. Wałkujcie na grubość 2-3 mm, lekko podsypując mąką (pamiętając, że grubsze pierniczki będą bardziej miękkie). Wykrawajcie dowolne kształty – ja najbardziej lubię serduszka – przekładajcie na blachę wyłożoną papierem do pieczenia. Pieczcie około 7-9 minut w temperaturze 170-180°C. Uważajcie, by nie piec za długo, ponieważ będą miały posmak goryczy. Zdejmowane z blachy są miękkie, twardnieją, stygnąc.

Drożdżowe ze skórką pomarańczową

Rozmieszajcie w ¾ szkl. letniego mleka 60 g drożdży z łyżką cukru pudru i postawcie w cieple; gdy zaczyn wyrośnie, zagniećcie z 700 g mąki pszennej, szczyptą soli, ⅓ szkl. cukru pudru oraz 250 g masła. Dodajcie drobno posiekaną (lub zmiksowaną) kandyzowaną skórkę pomarańczową lub cytrynową. Rozwałkujcie ciasto bardzo cieniutko, posmarujcie roztrzepanym jajkiem, pokrójcie radełkiem. Upieczcie na złoto. One także dają aromat świąt.

Paluszki

Posiekajcie nożem 300 g mąki tortowej z 60 g cukru pudru, 220 g zimnego pokrojonego na plasterki masła tak, by powstało coś na kształt kruszonki. Dodajcie 100 g zmielonych migdałów 2 żółtka z dużych jaj lub 3 z małych. Zagniećcie, aż ciasto uformuje się w kulę. Wstawcie na godzinę do lodówki. Utoczcie paluszki, ułóżcie je, nie zapominając o odstępach na papierze i pieczcie, aż będą złociste. Gorące posypcie mieszanką cukru pudru z prawdziwą wanilią. Są bardzo kruche, więc zróbcie to na papierze, na którym je piekliście, a potem zsuńcie ostrożnie do puszki.

Śmietankowe

To ulubione ciasteczka mojej mamy. Zagniećcie na jednolite ciasto 250 g mąki, 200 g cukru, 250 g masła (jeśli uda Wam się kupić, użyjcie 125 g łoju wołowego i 125 g masła), 1 szkl. gęstej śmietany i paczkę cukru z wanilią, schłodźcie przez godzinę. Rozwałkujcie, wykrójcie i pieczcie na złoto. Mają maślany smak, są wyjątkowo kruche. Znikają.

Bezglutenowe

Zagniećcie: 1 szkl. mąki ziemniaczanej, 150 g cukru pudru, 2 jajka, 50 g masła, ½ szkl. śmietany i ½ łyżeczki proszku do pieczenia. Formujcie kulki, rozpłaszczcie widelcem. Pieczcie na złoto.

*

Niech się Wam dobrze piecze!

Stronę redaguje Joanna Cyterska

eprasa.pl 472e4c9417

Pierwszy kasiarz RP

Z gadziej perspektywy

Przyciskany przez kolegów z PiS prezydent Duda zrobił polityczny szpagat. Przesłaną mu ustawę budżetową na rok 2025 podpisał. Ale jednocześnie wysłał część jej zapisów do Trybunału Konstytucyjnego. Z troskliwą uwagą, że podpisana przez niego ustawa pewnie też jest częściowo niezgodna z Konstytucją RP.

Wywołało to rechot koalicji rządzącej, bo prezydent Duda jako strażnik Konstytucji RP to polityczny oksymoron.

W maju 2025 r. ów Trybunał uznał przepisy zmniejszające budżety Trybunału Konstytucyjnego oraz Krajowej Rady Sądownictwa za niezgodne z konstytucją. Określił je jako „bezprecedensowe w historii demokratycznego państwa prawa".

Takie orzeczenie tego Trybunału koalicja rządząca zwyczajnie zignorowała. Ale opozycja też go nie wykorzystywała. Bo szybko zorientowała się, że nie warto walczyć o pieniądze dla instytucji uważanych przez biednych materialnie wyborców za rozpasane finansowo. Przecież hasłami wzywającymi do dosypania pieniędzy bogatym już sędziom nie zmobilizuje ludu pracującego wsi i miast.

Prezydent Duda zrobił ten szpagat, bo kończył swą kadencję. Nie znał swojego następcy, znał swoje zaplecze polityczne i koalicję rządzącą. Rozglądał się już wtedy za nowym zajęciem. Nie mógł być przeciw kolegom z PiS i nie mógł być w kontrze do rządu. Odsyłając ustawę do Trybunału, zyskał alibi w aktywie PiS. Robiąc ruch pozorny, nie wszczął konfliktu z koalicją rządzącą.

O, Karol!

Prezydent Andrzej Duda był politycznym ślizgaczem. Zwłaszcza w drugiej kadencji. Karol Nawrocki rozpoczyna swą prezydenturę. Ma charakter politycznego boksera. Niebawem dostanie do podpisu ustawę budżetową na rok 2026.

Od razu trzeba przypomnieć, że ustawy budżetowej prezydent nie może zawetować. Sejm nie musi zbierać większości potrzebnej do odrzucenia takiego weta.

Niestety, w obowiązującej dziś Konstytucji RP nie jest zapisany przymus podpisania budżetu. Zgodnie z konstytucją, prezydent może też wysłać ustawę do Trybunału Konstytucyjnego. Do tej pory wysyłano ją po wcześniejszym podpisaniu przez prezydenta. Wtedy Trybunał ma obowiązek wydać wyrok w ciągu dwóch miesięcy.

Ale kierując tam ustawę, prezydent musi znaleźć jakieś uzasadnienie. Podczas jej procedowania w listopadzie Komisja Finansów Publicznych zajmowała się poprawkami zgłoszonymi przez posłów. Przegłosowano tylko jedną, firmowaną przez wszystkie koalicyjne kluby. Przewiduje cięcia budżetów kilkunastu instytucji. Mniej z budżetu dostaną: Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, kancelarie Sejmu i Senatu, Kancelaria Prezydenta, Krajowe Biuro Wyborcze, Instytut Pamięci Narodowej, Najwyższa Izba Kontroli, Sąd Najwyższy. W przyszłym roku cięcia nie nie będą dotyczyć Krajowej Rady Sądownictwa i Trybunału Konstytucyjnego, choć ich budżety negatywnie zaopiniowała sejmowa komisja sprawiedliwości.

Ustawa budżetowa niedługo trafi do prezydenta Karola Nawrockiego. Ten przyjął postawę wojownika. Już zadeklarował w prawicowym tygodniku „Do Rzeczy": „Wskazywałem rzeczy, które są ważne dla Polaków i które, mam nadzieję, ostatecznie zostaną uwzględnione w budżecie państwa w skali możliwej do realizacji. Jeśli tak się nie stanie i będzie to budżet, który wzbudzi moje obawy, to jestem gotowy podjąć każdą decyzję". Rzekł to przed posiedzeniem sejmowej Komisji Finansów Publicznych.

Już wtedy wzbudził nadzieje parlamentarzystów z PiS. Bo ci politycy są przekonani, że kiedy budżet trafi do kierującego Trybunałem Konstytucyjnym Bogdana Święczkowskiego, kiedyś najbliższego współpracownika Zbigniewa Ziobry, to TK na pewno uzna go za niekonstytucyjny. A to da aktywistom i mediom z PiS pretekst do nieuznawania władzy rządu premiera Tuska i wezwań do przyspieszonych wyborów parlamentarnych.

Niech żyje chaos!

W cytowanym już wywiadzie prezydent Nawrocki ujawnił, że może przesłać ustawę budżetową do Trybunału „w trybie prewencyjnym". Czyli jeszcze przed jej podpisaniem, nie „w trybie następczym", czyli po jej podpisaniu. Jeśli uzna, że w budżecie nie ma wystarczających środków na dofinansowanie polskiej nauki, służby zdrowia; na bezpieczeństwo narodowe.

Zapewne w takim przypadku obecny Trybunał uzna budżet za niekonstytucyjny. Wtedy prezydent odmówi podpisania ustawy budżetowej, bo w obowiązującej Konstytucji RP nie ma zapisu o takim jego obowiązku.

Formalnie Rada Ministrów zostanie zobowiązana do wykonania wyroku Trybunału, ale nie musi podejmować inicjatywy ustawodawczej koniecznej do zmiany ustawy przyjętej przez parlament.

Warto przypomnieć, że wyrok w sprawie ustawy budżetowej musi być wydany w pełnym składzie Trybunału Konstytucyjnego. Czyli 15 jego sędziów. Teraz ma on już cztery wakaty. Niebawem odejdzie jeszcze Krystyna Pawłowicz, a pod koniec grudnia Michał Warmiński. Na pełen skład nie ma zatem szans. Koalicja na razie nie powołuje nikogo w miejsce ustępujących sędziów, co jest też naruszeniem konstytucji.

Wygląda na to, że prezydent Nawrocki nie zawetuje, ale też nie podpisze ustawy budżetowej. Wyśle ją do Trybunału Konstytucyjnego, który orzeknie jej niezgodność z ustawą zasadniczą. Ale zrobi to w niepełnym składzie, czym da pretekst koalicji rządzącej do nieuznawania wyroku. Opozycja z PiS wezwie do nieuznawania rządu i do nowych wyborów parlamentarnych. Choć teraz jej wyborcze notowania spadają, a rosną konkurentom z obu Konfederacji i wrogom z Koalicji Obywatelskiej. Rząd będzie mógł rządzić dalej na podstawie projektu budżetu.

Tak się złożyło, że w tym projekcie nie było jeszcze cięć dla Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Kancelarii Sejmu i Senatu, Kancelarii Prezydenta, Krajowego Biura Wyborczego, Instytutu Pamięci Narodowej, Najwyższej Izby Kontroli, Sądu Najwyższego. Zatem nie podpisując ustawy budżetowej, odsyłając ją do Trybunału Konstytucyjnego, bojowy prezydent Nawrocki rządu nie obali. Ocali za to kasę dla swej Kancelarii i swojego Instytutu Pamięci Narodowej.

Piotr Gadzinowski

BLOKCENTRALNYKOLB

Ojciec Oktan, Proboszcz Naszej Parafii, adaptuje na kasyno i klub nocny stary magazyn na obrzeżach Osiedla. Matrony z Koła Różańcowego mają z tej okazji nie lada zagwozdkę, ale z pewnością coś wymyślą, aby usprawiedliwić klechę. Amirowi, miejscowemu przedsiębiorcy, takiej szansy nie dano. Gdy na fali nostalgii postawił oldskulowy barakowóz z filperami i grami wideo, został zaszczuty przez organizacje kościelne. Ochroniarze Józefa, Komandosi Maryi, Wielkopostni Wojownicy wraz ze wspomnianym wcześniej Kołem doprowadzili Amira do ruiny, bo pod pozorem walki z hazardem blokowali uruchomienie przybytku. Na nic tłumaczenia, że gry te to jeno nieszkodliwa rozrywka, niemająca nic wspólnego z pieniędzmi. Organizacje na przemian stały pod barakowozem i przeganiały potencjalnych klientów. Kredyty, lizingi i rachunki zjadły Amira i jego malutki majątek. Teraz, jako kurier, rozwozi jedzenie dostarczając je przedstawicielom tych miłujących bliźniego organizacji. Bo miłować bliźniego należy – mówi Pismo. A Amir swój nie jest, bo jest obcy. Niech się cham nauczy, że nie wchodzi się z buciorami w odrębne kulturowo środowisko, ot tak sobie! Co innego służebna rola kuriera. To inna rozmowa.

W tym przypadku rozmodlone inaczej towarzystwo jest zgodne: gdy na nich popracuje parę pokoleń Amirów to może, MOŻE, będą mieli jakieś prawa. A na razie więcej pokory, przybysze ze wschodu, bo przecież wiadomo, że Jezus Król Polski jest Polakiem, a Maryja Królowa Polski to nawet Nadpolką!

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 472e4c9417

Czerwone korale

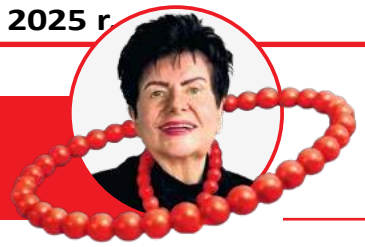

Ostre uderzenie wody sodowej

Woda sodowa uderza zwłaszcza do pustych łbów, bo jest w nich dużo miejsca do wypełnienia bąbelkami. Przypadłość dotyka zwłaszcza awansujących psim swędem.

Kiedy bowiem zero dostaje rzeczywistą lub choćby iluzoryczną władzę oraz konkretne pieniądze, sodówa dosłownie rozsadza mu łeb. W polskiej polityce nie brakuje na to przykładów.

Prezydent Karol Tadeusz Nawrocki

Urodzony w 1983 r. w rodzinie robotniczej, według słów matki, „dostał imię po Karolu Wojtyle, dlatego że w polskim papieżu cała nasza rodzina była zakochana po prostu. I szczęśliwa. Wiedzieliśmy, co to znaczy dla Polski". Niewykluczone, że drugie imię ma po Kościuszce, bo innych bohaterskich Tadeuszów na miarę ambicji rodziny Nawrockiego w Polsce nie uświadczysz. Przyszły prezydent wykorzystał je jako autor książki o trójmiejskim przestępcy („Spowiedź Nikosia zza grobu"), dodając fikcyjne nazwisko Batyr, które znaczy rycerz, bohater, dzielny człowiek. Ponieważ Tadeusz Batyr wychwalał swoje drugie ja, nasuwa się raczej skojarzenie z imieniem indyjskiego słonia z kazachskiego zoo, który potrafił wypowiedzieć około 20 słów po rosyjsku i kazachsku, a najczęściej mówił o sobie z lubością: „dobry Batyr".

Życiorys Karola Nawrockiego vel Tadeusza Batyra jest bogaty w fakty, które raczej wykluczają z pełnienia wysokich funkcji niż do nich predestynują. W Wikipedii, która dla milionów internautów stanowi główne źródło informacji o ludziach i świecie, pod hasłem „Karol Nawrocki", jest sekcja „Kontrowersje". Można w niej przeczytać m.in., że „będąc dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku w latach 2018-2020, mimo mieszkania 5 kilometrów od budynku muzeum, Nawrocki miał wynajmować przez łącznie 201 dni pokoje hotelu muzealnego bez płacenia za wynajem. W związku z tym prokuratura w 2025 wszczęła śledztwo"; są „publikacje wskazujące na kontakty Karola Nawrockiego z osobami ze świata przestępczego, środowisk pseudokibiców i neonazistów"; informacja, że w 2009 r. uczestniczył w ustawce około 140 kiboli Lechii Gdańsk i Lecha Poznań, co uważa za „aktywność sportową". Szerzej są omówione: „sprawa przejęcia mieszkania" od niepełnosprawnego mężczyzny, brak realizacji zobowiązania do zapewnienia mu utrzymania i wątpliwość w kwestii uiszczenia zapłaty oraz „domniemana działalność sutenerska", kiedy w 2007 r. pracował w Grand Hotelu w Sopocie jako ochroniarz. Wszystko napisane z ostrożności procesowej dość enigmatycznie, ale daje obraz człowieka uwikłanego w kompromitujące sprawy i z zadowoleniem zadomowionego w szemranym środowisku.

Ponieważ zwycięzcy się nie sądzi, afery powoli odchodzą w zapomnienie. Teraz na tapecie jest już pierwszych 100 dni prezydenckiego urzędowania, naznaczonych wojną z koalicją 15 października, a personalnie z premierem Tuskiem i ministrem Sikorskim, bo z nimi w pewnym stopniu dzieli, a w dużo większym uzurpuje sobie prawo do decydowania o polityce zagranicznej Polski. Z ministrem obrony narodowej dotychczas nie walczy, bo Kosiniak-Kamysz jest wobec niego ustępliwy, zgodnie z zasadą, że pokorne ciele dwie matki ssie. A może prezydent nie chce zadzierać z PSL, bo głosami jego dwóch senatorów został prezesem IPN, bez czego zapewne nigdy by nie dotarł do Dużego Pałacu. Wprawdzie, jak mówi stare powiedzenie, najbardziej nienawidzimy tych, którym coś zawdzięczamy, ale w tym wypadku chodzi jeszcze o interes PiS, które nie zrezygnowało z planów ewentualnej współpracy z ludowcami.

Do tej pory Nawrocki podpisał wprawdzie 70 ustaw, ale zawetował już 13, więc w porównaniu z dotychczasowymi prezydentami jest prawdziwym stachanowcem. Upartyjnienie prezydentury i wojna z rządzącą koalicją skutkują szkodzeniem także wymiarowi sprawiedliwości i służbom. Prezydent odmówił nominowania 46 sędziów, nie podpisał 136 promocji na pierwszy stopień oficerski w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz odrzucił 130 wniosków o odznaczenia dla funkcjonariuszy ABW. To jest już działanie niepoważne i nieodpowiedzialne, stanowiące zagrożenie dla stabilności i bezpieczeństwa państwa. A wynika z miksu rozdętego ego, uderzenia wody sodowej do głowy i rojenia o władzy absolutnej.

Jest wręcz nieprawdopodobne, że pierwszych 100 dni urzędowania, choć naznaczonych wojną z politycznymi przeciwnikami i demonstracyjnym pokazywaniem brutalnej, bezmyślnej siły, jest całkiem przychylnie odbierane przez coraz większą część polskiego społeczeństwa. W najnowszych sondażach Nawrocki, jako jedyny polityk, cieszy się zaufaniem ponad połowy obywateli (52 proc. wg IBRiS, 54 proc. wg CBOS) i jest to odpowiednio o 10 i nawet 23 pkt proc. większy odsetek niż deklarujących nieufność do głowy państwa.

Marszałek Włodzimierz Czarzasty

Urodził się 3 maja 1960 r. w Warszawie w rodzinie inteligenckiej, ale od wielu lat publicznie deklaruje, że pochodzi ze wsi na północnym Mazowszu („Mam charakter chłopa z Łagun, spod Przasnysza"). Kłamstwo jest związane z kandydowaniem do Sejmu z okręgu płockiego (2015) i 3 lata później do sejmiku mazowieckiego: chłopskie korzenie miały go uwiarygodnić w miejscowym elektoracie. Mówił, że ma charakter chłopa, zna ciężką pracę na roli i trudne dzieciństwo na wsi. Nie zadziałało, więc od 2019 r. dla bezpieczeństwa kandyduje z Sosnowca, czyli najbardziej lewicującego okręgu w Polsce. Trzeba mu oddać, że nie zmienił deklarowanego pochodzenia na górnicze, ale i nie zadomowił się w Zagłębiu. W 2023 r. reelekcję do Sejmu uzyskał jedynie dzięki znakomitemu wynikowi miejscowego radnego Łukasza Litewki, który z ostatniego miejsca zdobył 40 579 głosów, czyli prawie dwukrotnie więcej niż wicemarszałek Czarzasty z jedynki.

Kiedy w listopadzie 2025 r. miał po Hołowni dostać marszałkowską laskę, fotel, gabinet, kancelarię i apanaże, katoprawica zawyła z oburzenia, że to postkomuch i PZPR-owiec. A przecież zasłużeni działacze byłej przewodniej siły narodu byli wcześniej nie tylko drugimi osobami w państwie (marszałkowie Józef Oleksy, Marek Borowski, Włodzimierz Cimoszewicz), ale pierwszymi (prezydent Aleksander Kwaśniewski), trzecimi (premierzy Leszek Miller, Marek Belka). Zdecydowanie mniej przeszkadzało obecnej opozycji, że według raportu Ziobry, Czarzasty był członkiem „grupy trzymającej władzę". Pewnie dlatego, że sami albo są w takiej grupie (PiS z przystawkami), albo marzą, żeby być (Konfederacje Mentzena i Brauna). A może też z powodu niechęci do Ziobry, którego afery powoli topią PiS.

Nawet dwoje posłów obecnej koalicji mierziła komusza przeszłość Czarzastego, ale nikogo jego konszachty z PiS, zamordystyczne rządy w partii tworzącej koalicję 15 października, kolesiostwo, kumoterstwo i zasada BMW (bierny, mierny, ale wierny) przy kupczeniu stanowiskami. Bez komentarza, wyjąwszy mój, pozostało jego sprzeniewierzenie się lewicowym postulatom świeckości państwa („Nie uważam, że rozsądnym elementem walki o państwo świeckie jest zdejmowanie krzyża z sali obrad Sejmu"). Wolał, bo to bezpieczniejsze, zdjąć alkohol z baru w hotelu poselskim, choć w innych restauracjach mu nie przeszkadza. Ciekawe, czy w dalszym ciągu będzie częstował kumpli wysokoprocentowymi trunkami w swoim sejmowym gabinecie?

Czarzasty zachłysnął się awansem i powtarzał w kółko swój nowy tytuł: „Będę marszałkiem, który będzie marszałkiem spokoju, będę marszałkiem rozsądku, będę marszałkiem dystansu, będę marszałkiem, który jak podejmie decyzję najpierw 56 razy pomyśli, bo wolę podejmować rozsądne decyzje niż szybkie". I jak zwykle minął się z prawdą, bo szybko podjął głupią decyzję o przywróceniu pisowskiej zamrażarki, co nazwał szumnie „wetem marszałkowskim", żeby choć w wetach i bucie dorównać prezydentowi Nawrockiemu. Na razie goni go w rankingu zaufania. Ponieważ Polacy kochają autorytety formalne, Czarzasty z jedenastego wywindował się na trzecie miejsce. Ufa mu 39,6 proc. badanych, nie ufa 47 proc. Kolejne badania pokażą, czy rację miało 55 proc. obywateli, którzy nie chcieli jego awansu na marszałka Sejmu.

prof. Joanna Senyszyn

FAKTY PO MITACH
TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja elektroniczna: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 40 zł (4 wydania)
I kwartał 2026 – 130 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 472e4c9417

ZAORANE

Skarżysko-Kamienna

Niektórzy nie potrafią powstrzymać się od kradzieży. Nieważne, co miałoby paść ich łupem, grunt, to wykorzystać nadarzającą się okazję. W jednym z lokali gastronomicznych ktoś ukradł 180 kilogramów… zużytego tłuszczu spożywczego.

Iława

Pewien 31-latek nie mógł świętować urodzin swojego przyjaciela, gdyż ten był osadzony w zakładzie karnym. Przyjechał więc pod budynek więzienia z grupą znajomych i żeby dodać mu otuchy, odpalił fajerwerki. Może jak pan Zbigniew wróci z Węgier, to jego koledzy też będą go tak wspierać?

Lublin

Korzystając z zimowej aury, po niedzielnej mszy w parafii św. Michała Archanioła proboszcz ks. Arkadiusz Paśnik zorganizował spontaniczną bitwę na śnieżki. Krótki film z zabawy zrobił prawdziwą furorę w mediach społecznościowych. „Taki proboszcz to skarb" – zachwycają się internauci. Jak złą opinię musi mieć kler, że Polacy pieją z zachwytu nad każdym przejawem ich normalności?

Warszawa

Po godzinie 3 nad ranem dzwony kościoła św. Tomasza Apostoła na Imielinie zaczęły dzwonić jak szalone. Biły tak 20 minut budząc całą okolicę. Kiedy sytuację udało się opanować, po godzinie stało się to samo. Była to awaria automatycznego mechanizmu sterującego dzwonami, za którą proboszcz przeprosił. „Jak sobie będę walić w gong na balkonie o 4 rano, a potem przeproszę i to też będzie OK?"; „Prawie z łóżka wypadłam"; „Myślałem, że papież umarł…" – komentowali warszawiacy.

Września

Pewna rodzina rolników – 30-letni syn i jego rodzice – postanowiła uporać się z kryzysem na rynku rolnym i w nietypowy sposób rozszerzyła swoją działalność. W trzech tonach zboża przechowywała marihuanę. A w dojarkach do mleka płynne THC, kryształy pochodnych mefedronu oraz koncentraty konopne. Gdyby nie policja, nie opędziliby się od klientów chętnych na nowy rodzaj mleka.

Terespol

Straż Graniczna zatrzymała 43-letniego obywatela Białorusi, który próbując wjechać do Polski nie zmieścił się w graniczny terminal. Z 3 promilami alkoholu w organizmie wpakował się ciężarówką w latarnię, a potem uderzył w auto dostawcze. Nie pytamy, dlaczego pił za kółkiem, tylko jak to możliwe, że białoruscy celnicy niczego nie zauważyli?

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Musimy podjąć jednoznaczne działanie, by uniemożliwić niszczenie o. Tadeusza Rydzyka CSsR, ale także uniemożliwić niszczenie chrześcijaństwa i formacji, która sprawia, że od ponad 1000 lat jesteśmy narodem niepodległym z cywilizacją chrześcijańską.

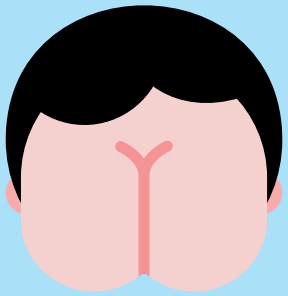

Antoni Macierewicz
poseł

Sondaże zaufania

Należą do najczęściej (obok sondaży poparcia partii politycznych) upublicznianych badań opinii publicznej w sferze polityki. Jednym poprawiają humor, innym psują, ale trudno na nich budować przyszłość, bo są jedynie socjologiczną fotografią nastrojów istniejących tu i teraz. To kadry wrażliwe na bieżące wydarzenia, zmieniające się dosłownie z dnia na dzień. Tzw. skok chwilowy występuje najczęściej pod wpływem skandali, afer, kryzysów; czasem wystarczy niefortunna wypowiedź, ujawnienie kompromitującego faktu, fałszywe oskarżenie, by zaufanie spadło o kilka punktów proc. i przeciwnie – jakiś pozytyw (np. przekonanie, że dany polityk rozumie problemy, obawy, oczekiwania ludzi, fotografia z pieskiem) może sprawić, że zaufanie poszybuje w górę. Bardziej trwałe notowania daje częsta obecność w mediach, w tym internetowych, nawet bez fajerwerków kompetencji czy intelektu, bo stwarza wrażenie, że polityk jest ważny i ma coś do powiedzenia. Wszak, jak cię nie ma w Google, nie ma cię w ogóle. Ponieważ w Polsce liczy się w zasadzie wyłącznie autorytet formalny, płynący z piastowania wysokiego stanowiska (funkcji), w sondażach zaufania występuje tzw. efekt prezydencki, który polega na gwałtownym wzroście notowań nowego pierwszego obywatela, przy równoczesnym spadku notowań, a po pewnym czasie wręcz wyeliminowaniu z rankingu tego, który zakończył kadencję. Fakt ten dotyczy także zmiany premiera i marszałka sejmu, rzadziej ministra, oraz szefów partii mających reprezentację w Sejmie. Przeciwieństwem jest tzw. fenomen nieznanych, którzy choć słabo rozpoznawalni, cieszą się zaufaniem, bo niczym się jeszcze nie narazili.

Badania zaufania do polityków prowadzone są na reprezentatywnych próbach, najczęściej metodami: CAPI (wywiad osobisty przeprowadzany przy wspomaganiu komputerowym), CATI (wywiad w trakcie rozmowy telefonicznej, wspomagany komputerowo), CAWI (badany otrzymuje ankietę elektroniczną do samodzielnego wypełnienia); praktycznie odchodzi się od tradycyjnej ankiety wypełnianej długopisem na papierze (PAPI). Respondent odpowiada na pytanie zamknięte: „Czy ufa Pan/Pani w sprawach publicznych politykowi X?", zaznaczając w kwestionariuszu jedną z sześciu odpowiedzi: „zdecydowanie ufam", „raczej ufam", „raczej nie ufam", „zdecydowanie nie ufam", „trudno powiedzieć" lub „nie znam". Ponieważ wielu polityków wzbudza większą nieufność niż zaufanie, sondaże te są często nazywane „konkursami popularności" lub „sondażami braku zaufania". Comiesięczne publikacje CBOS i IBRiS, jako najpowszechniej cytowane, w największym stopniu kształtują opinię publiczną.

Zaufanie niekoniecznie przekłada się na wyniki wyborcze. Na przykład, Jacek Kuroń (1995), Szymon Hołownia (2025), choć cieszyli się wysokim społecznym zaufaniem, mieli słabe poparcie w wyborach prezydenckich (odpowiednio 9,22 proc. i 4,99 proc.). Przy urnach ludzie nie kierują się zaufaniem, ale reagują emocjonalnie na dochodzące do nich informacje.

prof. Joanna Senyszyn

eprasa.pl 472e4c9417